

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 58.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 22 października 1860.
3 listopada
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Wojciech Bogusławski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Nagrobek Karola hr. Brzostowskiego (z drzeworytem). — Chłopi w Czechach z okolic Pilzna (z trzema drzeworytami). — Komunikacje, przemysł i handel. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Dom rozrywkalny (z drzeworytem). — Rebus. — O wpływie muzyki i zabaw towarzyskich na zdrowie osób nerwowych, a w szczególności kobiet. — Hrabianka Dynia, obrazek skreślony przez Teod. Tom. Jeza. — Doniesienia.

Wojciech Bogusławski.

„Krzywdzące głos ojczysty mniemania umorzył,
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.”

W dziejach teatru polskiego, najznakomitsze miejsce zajmuje Wojciech Bogusławski, nie tylko jako utalentowany artysta i pisarz dramatyczny, ale jako założyciel stałego teatru i sceny narodowej.

Urodził się w r. 1760 we wsi Glinnie pod Poznaniem, z dawniej rodziny szlacheckiej. Nauki pobierał w konwiktzie szlacheckim księży pijarów w Warszawie. Obecny w czasie ostatniego opisu z ukończonych nauk biskup krakowski, książę siewierski, Sołtyk, ujęty równie zdolnościami jak przytomnością młodego Bogusławskiego, wziął go za pazia do swego boku. Gdy Sołtyk kraj opuścił, a dwór jego się rozszedł, Bogusławski wszedł do pułku gwardyi litewskiej; lecz gdy przez intrygi ominął go stopień oficerski, porzucił stan wojskowy. Przeszedłszy później przykre koleje życia, pomimowolnie prawie zmuszonym był poświęcić się scenie narodowej.

Była to właśnie chwila, kiedy po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, król ten, chcąc naśladować Ludwika XIV, teatr w Warszawie stały otworzył i za pomocą sceny, (jak nadworny poeta Józef Bielawski publicznie w prologach do swych komedji myśl monarszą objawił), pragnął grube barbarzyństwo sarmackie ucywilizować wprowadzeniem elegancji francuskiej.

Szambelan Wojna przedstawił królowi Bogusławskiego i wprowadził go do teatru. Pierwszy raz wystąpił na scenę w r. 1778 w tłumaczonej przez siebie komedji p. n. *Falszywe poufanie*.

Wystąpienie to z wielkim odbyło się powodzeniem, zapowiadając znakomitego artystę i przyszłą ozdobę sceny narodowej. Wzrost wysoki, postać kształtna, oblicze męskie, dorodne, organ silny a dźwięczny, zrozumienie i pojęcie przedstawianej roli, były to przymioty, które do razu odznaczyły się młody Bogusławski.

Objąwszy dyrekcją teatru, pierwszy powziął myśl szczęśliwą wprowadzenia na scenę opery polskiej. Wiadomość o tym wywołała z razu uśmiech szyderski i żarciki dworzan i zwolenników cudzoziemskiej

zny; sam król, lubo pragnął podniesienia teatru, wątpił czy ten pomysł się uda.

Bogusławski, niezrażony niczem, dodałszy do opery Fr. Bohomolca p. n. *Nedza uszczęśliwiona* własne po większej części pieśni, przedstawił ją z powszechnym zadowoleniem. Muzykę do niej napisał *Maciej Kamiński*.

Przyjmowanie tak pomyslnie, z takim zapalem i oklaskami każdego przedstawienia *Nedzy uszczęśliwionej*, zachęciło Bogusławskiego, że zaczął tłumaczyć opery z francuskiego i włoskiego języka. Najprzód przedstawił operę Sachiniego: *Dla miłości zmy-*

czność, podwoił usiłowania Bogusławskiego i nasunął mu myśl napisania opery treści polskiej.

Dokładna znajomość ludu krakowskiego i górali naszych, dała mu wątek do sławnej opery: *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*, pierwszy raz granej w r. 1794, a następnie przez lat kilkadziesiąt powtarzanej. Piosnki z niej, zgodnie wtórujące ówczasowemu usposobieniu umysłów, rozbiegły się po całym kraju i wszędzie śpiewane były przy melodyi Jana Stefaniego, pełnej wdzięku i prostoty ludowej. W niej sam autor występował w roli *studenta*, zbierając zawsze zasłużone oklaski.

Ale teatr narodowy nie mógł się swobodnie w owe czasy rozwijać. Z jednej strony liczny zastęp zwolenników cudzoziemskiej usiłował zniszczyć operę polską, a włoską wprowadzić, z drugiej wypadki polityczne zmusiły wkrótce Bogusławskiego opuścić stolicę Rzeczypospolitej i daleko od niej urządzać widowiska. Jeżeli to było złem i niekorzystnym dla teatru warszawskiego i artystów, to znowu przez wędrowki po kraju zaszczepiał wszędzie smak i zapal dla sceny narodowej. Wilno, Lwów, Kraków, Grodno, Dubno, Poznań, Białystok, Gdańsk i wiele innych miast powzięło zamiłowanie do polskiej sztuki dramatycznej, i młodzież wspierała szlachetne usiłowania Bogusławskiego, powiększając grono tak artystów jak pisarzy dla sceny. Dość tu nadmienić Jana Nepomucena Kamińskiego i Alojzego Żółkowskiego, wydawcę *Momusa*.

Król Stanisław August oceniał talent i zasługi znakomitego dyrektora. W r. 1784 wezwał go, aby ze swym nielicznym ale dobranym towarzystwem przybył do Grodna i tam w czasie sejmu otworzył widowiska. W r. 1790 otrzymał powtórne wezwanie do Warszawy, gdzie pozyskał dla swego towarzystwa tytuł *artystów narodowych*, a sam godność *dyrektora królewskich widowisk*.

Wtedy to Julian Ursyn Niemcewicz, poseł infancki na sejm wielki, napisał sławną komedją wierszem p. n. *Powrót posła* i ogłosił ją drukiem 1791 r. Bogusławski tegoż roku wydał *Dowód wdzięczności narodu, we dwóch aktach, komedya przystosowana do uroczystości obchodu szczęśliwego na tron wybrania Najjaśniejszego Pana, a na dopełnienie komedji Powrót posła napisana*. Przepisał ją królowi i oddzielny wiersz przy niej, po dedykacji, poświęcił autorowi *Powrotu posła*.

Stanisław August, chcąc przełamać przesady przeciw artystom dramatycznym, czyli aktorom jak ich



WOJCIECH BOGUSŁAWSKI.

ślone szalenstwo; dalej w r. 1780 Passiego: *Fraszkatanka, czyli dziewczyna zalotna*. Pierwszy to był przykład przedstawienia w polskim języku opery z wielkimi ariami i chórami. Nie poprzestając na tém, po długich trudach i pracy wystawił 28 września 1793 r. wielką operę, całą w recytatywach, p. n. *Azur król Ormus*, z muzyką Saliergo.

Nadzwyczajny zapal z jakim ją przyjęła publi-

wówczas nazywano, gdy nie chciano grzebać ich zwłok na cmentarzach, zapraszał Bogusławskiego na *czwartkowe obiady*. Zdarzyło się że raz usiadł obok dumnego kasztelana***. Ten, słysząc króla łaskawie do artysty przemawiającego i zowiącego go po nazwisku, myślał że to jaki pan uczony lub dworzanin królewski. Chcąc więc okazać mu grzeczność swoją, korzystał z najpierwszej przerwy w rozmowie i rzekł do niego:

— Jaka to szkoda, mości dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzyja imion rodowitych.

— W czémże to panie kasztelanie i komu szkoda? zapytał artysta.

— Otóż samemu waćpanu dobrodziejowi. Chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszeć jego nazwisko, a już mnie to obchodzi, że się tak właśnie nazywa jakiś tam szerepetka, aktor, kuglarz, co to mości dobrodzieju na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmiesz.

— Właśnie to ja sam nim jestem, odpowie Bogusławski, co czasem hrabiów, czasem kasztelanów.... błaznów udaje, mości dobrodzieju.

To mówiąc, przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

Zaburzenia krajowe w r. 1794 popchnęły do upadku scenę warszawską i zniszczyły dzieło, które Bogusławski z taką pracą i trudami tak wysoko wyniósł. Artyści się rozproszyli, a on sam rozpoczął na nowo wędrówkę do miast większych dawniej Polski. Wypadkami ojczystymi przerzucany z miejsca na miejsce, dopiero w r. 1809 przybył do Warszawy i otworzył stałe widowiska. W roku 1814 złożył przedsięwzięcie sceny narodowej i ustąpił swojemu zięciowi Ludwikowi Osiańskiemu.

Odtąd zdaleka od zgiełku stolicy, używał w sędziwym wieku tego spokoju, za którym od lat młodych wzdychał. Tu zajął się zebraniem, poprawą i ułożeniem pism swoich dramatycznych, o czém już zamyślał przed dwudziestą laty; w r. bowiem 1794, kiedy Bogusławskiemu przedrukowano bez jego wiedzy ulubioną komedię *Henryk VI na łowach*, skarżąc się na doznaną szkodę, wyrobił sobie przywilej królewski pod dniem 20 lutego t. r. na wydrukowanie dzieła p. n. *Teatr narodowy, czyli zbiór wszystkich dramów, komedjów i oper granych na teatrze warszawskim od roku 1789 do 1794*. Zbiór ten miał objąć sztuk 34. Teraz znamienicie go powiększył i wydał p. n. *Dzieła dramatyczne* w XII tomach. Warszawa 1820—23. W nich mamy skrócone dzieje teatru polskiego (tom 1 — 4). Widzimy tam ile miał przeszkód do zwalczania, jak wielkiego potrzeba było poświęcenia, wytrwałości, aby doszedł do zamierzonego celu. Czytamy tu życiorysy artystów naszych, co podpierali usiłowania Bogusławskiego: *Owsiańskiego, Truskolawskiego i jęj męża, Sierakowskiej, Świerżawskiego, Salomei Deszner, Mierzyńskiego, Jasińskiego, Hempinńskiego, Pierożyńskiego, Kaczkowskiego i Drozdowskiej*. Sześćdziesiąt sztuk obejmują powyższe dzieła, do dwudziestu pozostało w rękopiśmie: te okazują jak pojmował sztukę dramatyczną i znaczenie sceny.

Pomimo przeważnego u nas wpływu literatury francuskiej, podniesionego jeszcze ówczasem politycznymi wypadkami, Bogusławski nie hołdował jęj jedynie. Pierwszy zapoznał publiczność polską z nieznanymi autorami dramatycznymi, jak z *Szekspirem* (Hamlet), *Sheridanem* (Szkoła obmowy), *Alferim* (Saul), *Lessingem* (Emilia Galotti), ulubionym w owe czasy *Kotzebue* i *Molierem*. Słowem zarówno Francya jak Włochy (bo większą połowę oper tłumaczył z włoskiego), Anglia i Niemcy składały jego repertoar.

Dwie tylko sztuki oryginalne w tym zbiorze umieścił, t. j. *Henryka VI na łowach* i *Spazmy modne*. Operę *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*, we dwadzieścia lat po śmierci autora w Berlinie wydrukowano.

Z zaciszy domowej ostatni raz wystąpił na scenie narodowego teatru dnia 20 listopada 1827 r. w roli *Fryderyka Wielkiego* w komedji *Koźnyk wiśni*. Najświetniejsze przyjęcie spotkało starca, już 67 lat liczącego, od tęj publiczności, co umiała godnie ocenić talent i zasługi Bogusławskiego. Pamiętamy jego wystąpienie nie tylko w tęj sztuce, ale i w roli *Horacyusza*. Starzec głosem niewyraźnym, już rozbitym, ale z całym zapalem oddawał swoją rolę. Wypadek zdarzył, że właśnie na parterze było dwóch Francuzów. Ci podziwienia swego zataić nie mogli nad zapalem naszej publiczności w przyjęciu Bogusławskie-

go i rzesistemi oklaskami po wielu ustępach. „U nas w Paryżu wygwizdanoby takiego starego aktora, (mówili) choćby równie zasłużonego. Wasza publiczność lepszą ma pamięć dla talentu i wieloletniej pracy, umie czić choć stargane siły w tak pięknym zawodzie.“

We dwa lata później umarł dnia 23 lipca 1829 r., dożywszy lat 69 wieku. Pochowany w ścianie zewnętrznej wielkiego ołtarza kościoła powązkowskiego, w tęp miejscu, gdzie kamień z napisem sam za życia położył dla swęj córki Zofii, zmarłej 1818 r. Drzącą już ręką nakreślił na głaz grobowy ukochanego dziecięcia wiersz następnny:

„Zwiędłaś jak róża, gdy ją mroźny wiatr owieje,
Ciezką ojcowskie serce okrywszy żalobą,
Tę mi jednę w starości zostawiasz nadzieję,
Że wkrótce pójdę za tobą.“

Pomnika dotąd żadnego niema, chociaż na wspólniejszy niż wielu innych zasłużył (*). Za życia współczesni oddawali hołd Bogusławskiemu. W dniu 23 kwietnia 1803 r. zebrani w jedno grono wielbiciele sceny narodowej i talentu jego, wraz z artystami dramatycznymi, świetnie obchodzili dzień imienin Bogusławskiego. Zrana odegrano mu serenadę, a po złożeniu powinszowania, zaproszono go na obiad i przedstawienie teatralne, przygotowane w salach pałacu Radziwiłłowskiego (dziś zwanym Paca). Na to widowisko rozdano bezpłatnie bilety obywatelom Warszawy. Odegrana komedja *Aktorowie na polach elizejskich* L. A. Dmuszewskiego, pomnożoną została stosownymi piosnkami z muzyką J. Elsnera. Na balu, który ten obchód zakończył, rozdano goszczącym sztychowany przez Ligbera w profilu wizerunek Bogusławskiego, z dwuwierszem Ludwika Osiańskiego, który zamieściliśmy na czele. Pierwszy wiersz zastosowany był do tęj okoliczności, że Bogusławski, usilnością i pracą, przekonał nie tylko rodaków ale i cudzoziemców, że możemy mieć swoją operę i obejść się bez włoskich a tak drogich śpiewaków.

Bogusławski, jak był pierwszym u nas który wprowadził nieznaną dotąd przykład widowisk na dochód ubogich (**), tak zarazem był pierwszym, który wprowadził lud z całym urokiem prawdy na scenę narodową, i tęp, obok innych przeważnych zasług, uwiecznił imię swoje.

K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

We czwartek dnia 20 października (1 listopada) JO. Książę Namiestnik Królestwa otrzymał drogą telegraficzną depezy bolesną wiadomość oskonie NAJJAŚNIEJSZEJ CESARZOWEJ ALEKSANDRY FEDORÓWNEJ, następnym dnia tego o godzinie w pół do dziewiętej rano. Kraj cały, nie wątpim, podzieli tę boleść, która dotknęła SYNOWSKIE serce Najlepszego Naszego MONARCHY I NAJJAŚNIEJSZEJ RODZINY.

...Ty jedna na grób jego ścielesz się, murawo!
Więc gdy i mego życia spłynie cichy strumień,
Przyjdź na grób mój i moich przyjaciół zarumień.

Owóz ile razy wypada mi być na Powązkach, zawsze mi się przypominają te wiersze poety. Tyłu już pisało o tęp mieście umarłych, przyczepionem do żywego i weselącego się miasta, jak ów niewolnik przypominający konieczność śmierci, do wozu tryumfatora rzymskiego. Boże mój drogi, każdemu z nas zdaje się iż jest tak koniecznym na świecie, że śmierć jego sprawiłaby tu próżnią, która z trudnością tylko dałaby się zapełnić, a tymczasem kiedy najlepsi, najukochańsi umierają, cóż się po nich zostaje?

Czasem krótki płacz dziecka, cichy żal dziewicy,
Nekrolog co napiszą ludzie zysku pewni,
I karta śmierci, co krewni
Przybiją na róg ulicy.

(*) Redakcyja Tygodnika Ilustrowanego, pragnąc aby miejsce spoczynku zasłużonego artysty dramatycznego i pisarza uczczonem było jeżeli nie okazałym pomnikiem, to skromnym przynajmniej kamieniem nadgrobnym, oświadcza niniejszem gotowość przyjmowania składek od czcicieli jego talentu. Jako pierwszy zawiązek potrzebnego na ten cel funduszu, wydawca, redakcyja i niektórzy współpracownicy Tygodnika złożyli rsr. 16 kop. 50. O dalszych wpływach w czasie właściwym nie omieszamy zdać sprawy.

(**) Gazeta Warszawska z dnia 4 stycznia 1794 roku dziękuje Bogusławskiemu za ten czyn piękny, a u nas dotychczas niepraktykowany. Grano wówczas pierwszy raz *Sheridana* komedja *Szkoła obmowy*.

I ot wszystko, albo wszystko prawie, bo na zapomnienie lat nawet nie potrzeba. Czytajcie Balzaka, on to gdzieś bardzo dosadnie napisał, i biedak nie przeczuwał może wówczas, że po śmierci będą się targować o własny jego pomnik. Więc dzień zaduszny ma dla mnie zawsze dziwny jakiś urok. To święto wydaje mi się jakby rozpamiętywaniem życia naszego, całej ubiegłej przeszłości. Wszystkie związki, przyjaźnie, miłości, jakie w wędrówce naszej daleko pozostawiliśmy za sobą, stają wówczas przed nami; odżywia się dla nas cały ten rząd zamaryłych postaci, o coraz bardziej zacierających się rysach.

Pamiętam słowa pewnego kapłana.

— Jeżeli Bóg, mówił on, nie natchnął jeszcze miłością dla siebie serca twojego, jeżeli nie umiesz, nie śmieysz się modlić, i dlatego świątyni pańskiej unikasz, idź jednak śmiało do kościoła. I nie módl się tam nawet, nie zmuszaj ust swoich do wymawiania wyrazów, któreby z serca nie wychodziły; ale uważaj pilnie w około siebie, patrz na korzących się przed panem, na tę myśl pobożną, ożywiającą tłumy tam zgromadzone. I ktokolwiek jesteś, łaska Boża przejdzie od nich do ciebie, poczniesz się wraz z nimi modlić, ukorzysz się przed Bogiem i serce twoje się roztworzy. A wówczas uznasz jakie to szczęście, jaka to pociecha jest w szczeręj a serdecznęj modlitwie.

Tak samo wy, których serca wyschły w walce z życiem, wy którzy już zdaje się nie macie łyzy, nie macie współczucia dla nieszczęść cudzych i własnych nawet, idźcie w dzień zaduszny na Powązki, a serce napowrót w was się ocknie. Tylko prawdziwęj boleści, szczeręgo żalu nie szukajcie w około wyniosłych marmurowych pomników, albo przy złożonych balustradach, uprzytomniających w obliczu śmierci marne zajęcia życia. Nieraz tym co na marmur i złocenie wydali pieniądze, zdaje się już że się wywiązali ze wszystkiego, że wypłacili ostatni dług tym, których wspomnienie coraz bardziej gaśnie w ich pamięci, coraz więcej zacięra się w życiu.

Dzień zaduszny na całej przestrzeni kraju naszego uroczyście jest obchodzony. Może instynktownie więcej niż inne narody przywiązujemy się do pamięci tych, co już nas opuścili, pozostawiając nam w sercu nie tylko żal ludzi, ale i żal przeszłości, którą ci ludzie widzieli, w której żyli, działali.

Pod względem życia miejskiego obecna pora najsmutniejszą może jest w roku. Skończyły się już przyjemności letnie, a zabawy zimowe nie rozpoczęły się jeszcze, słowem można tę porę nazwać przeprowadzinami roku z leż letnich na zimowe.

W kółku artystycznem, o którym kilka razy pisaliśmy, rozpoczęły się koncerty; mówią także iż wykłady popularne nauk w resursie kupieckiej powtórzą się i w roku bieżącym. Bardzoby także były na dobie rozbiory dzieł poważniejszych, wyłożone przystępnie i z zastosowaniem do usposobienia umysłowego słuchaczy. U nas pod tęp względem panuje dotychczas najzupełniejsza dowolność sądów; rzadko nawet krytyka prostuje błędne pojęcia, bo oprócz kilku dobrze znanych i zasłużonych nazwisk krytyków naszych, reszta dorywczo tylko chwyta za pióro, wyznając za jedyne estetyczne zasady wrażenie chwilowe, a raczój nie posiadając żadnych estetycznych zasad. Sąd jednak powinien być na czémś oparty koniecznie, bo inaczej krytyk w ciągłęj będzie sprzeczności z samym sobą, jak to się często u nas zdarza.

I jakże się potęp dziwić, że tak często okazuje się dziwny rozdział pomiędzy opinią krytyków a zdaniem objawianymi przez publiczność? „Może to jest złe, mówi ta ostatnia, może nie napisane podług reguł sztuki, ale to nas bawi, zajmuje, a my tego właśnie żądamy.“ A to zajęcie, ta zabawa zależy właśnie od wyobrażeń jakie sobie ogół utworzy, jakie się w niego wpoją.

Najlepiej daje się to widzieć na przedstawieniach teatralnych. W ostatnich czasach dwa dramata, jeden oryginalny, drugi tłumaczony, *List żelazny* i *Burgrafowie*, miały niezaprzeczone powodzenie, ale publiczność zapełniała miejsca więcej z poczucia niejako obowiązku, aniżeli z prawdziwego zajęcia jakie w nięj te dzieła wzbudzały. I słyszałem wielu mówiących: „Trzeba koniecznie iść do teatru, żeby zobaczyć przecie to co cały świat chwali.“

Ci więc, którzy lękali się szczerze zdanie swe objawić, półgębkiem obu dziełom przyznawali wielką war-

tość, ale stronili już od drugiego przedstawienia, wprowadzając w czyn ów znany dobrze dwuwiórz:

Chwalili świetne miejsca, piękny polot myśli,
Klaskali i klaskali, drugi raz nie przyszli.

Śmielsi zaś odzywali się wręcz że to jest bardzo piękne, ale że wolą lada komedyjkę, na której małym kosztem myśli i uwagi można się przynajmniej ubawić. Najlepiej o tym przekonać się było można, uważając pilnie na publiczność zapełniającą teatr. Publiczność ta szukała gwałtem miejsc dostępniejszych; zdawało się jakby śmiech wisiał jej na ustach, czekając tylko sposobnej chwili do objawienia się, a do takiego śmiechu mogły dać powód lada wyraz fałszywie wytłumaczony, lada zdanie dwuznaczne, lada zły akcent wypowiadającego rolę artysty; po skończeniu zaś sztuki nieraz słyszałeś głębokie odcznięcie wielkiej części słuchaczy, jakby studentów po dokonaniu jakiego pensum, nudnego ale koniecznego. Dlatego to sztuki poważne, pomimo pochwał oddawanych im przez krytykę, rzadko kiedy utrzymują się u nas w repertuarze, dlatego to dzieła poważne, o których każdy z uszanowaniem mówi, tak mało jednak znajdują pokupu.

Pan Nowolecki ogłosił prospekt na Skarbczyk polski, czyli Historią polską wiérsem opowiedzianą przez p. Maryę Ilnicką, z dodaniem muzyki Moniuszki i przypisów objaśniających każde panowanie przez J. B. W. Dzieło to ma być ozdobione siedmdziesięcią kilką drzeworytami, z których kilka zamieszczono w prospekcie. Sądząc właśnie z tych próbek, wolelibyśmy mniej drzeworytów, a staranniej wyrzniętych, bo wszakżeż znane nazwiska artystów, którym pan Nowolecki (jak sam ogłasza w prospekcie) polecił wykonanie rysunków, zdają się dowodzić że nie ich tutaj winić należy. Tém bardziej sądziliśmy się w prawie uczynić tę uwagę, im lepiej wróżymy o dziele, do którego jedna z najznamienszych naszych poetek przyłożyła rękę. Radzimy również wydawcy, żeby pomyślał o starannej korekcie, bo ta której próbkę w prospekcie widzimy, czyni krzywdę autorce, przekształcając wyrazy a nawet całe wiérse. Poprawność wydania nie jest tak drobnym warunkiem, jakby to się zdawać mogło, i nieraz od niej szybki rozkup dzieła zależy, a kto na większe rzeczy nie żałuje, ten i w małych nie powinienby robić oszczędności. W tym samym prospekcie czytamy ogłoszenie o wydaniu drugiej seryi obrazków z życia bogobojnych i pobożnych Polaków i Polek przez Józefę Śmigielką. Dobre to i użyteczne wydanie i cieszymy się z pomyslnego przyjęcia, jakie pierwszą seryą spotkało. Ale zato obylibyśmy się bezpiecznie bez drugiego wydania trzyjęzycznych powinszowań i wiérse do imionników. Tego rodzaju fabrykaty zajmują napróżno druk i papier, wyciągając pieniądze z kieszeni publiczności, i przyznam się że jeżeli naprawdę pierwsze wydanie się rozeszło, to smutne czyni wrażenie ta skwapliwość publiczności w rozchwytywaniu takiej książki, kiedy Mickiewicz, Słowacki, Pol, Lenartowicz i t.p. nieraz napróżno czekają kupców.

Drukarnia p. Ohryzki w Petersburgu nie przestaje także wzbogacać piśmiennictwa naszego pożytecznymi wydaniem. Świeżo nakładem jego wyszły dwa nowe dzieła: „Rękopisma Długosza znajdujące się w bibliotekach petersburskich, rozpatrzone przez Antoniego Białeckiego“ i „Elektryczność i magnes, w stanie zdrowia i choroby człowieka, przez doktora Józefa Dropsego.“ Pierwsza z tych książek ściśle się wiąże z gotującym się teraz nowym wydaniem wszystkich dzieł arcy-historyka naszego, ocenia bowiem rękopisma petersburskie pod względem szczególnie paleograficznym i bibliograficznym. O drugiej, jako wielce ciekawej dla ludzi nawet niespecjalnych, obszerniej może kiedyś pomówimy. Dziś ograniczamy się na wzmiankę, że jest to traktat obszernie rozwinięty o terapeutycznym zastosowaniu elektryczności i magnetyzmu w wielu przypadłościach chwilowych i chorobach chronicznych, według wynalezioną przez autora metody, powszechnie już we Francji stosowanej.

Niedawno nakładem księgarni i litografii p. Dzwonkowskiego wyszedł widok Warszawy, zdjęty jakby w przelocie (à vol d'oiseau). Odbicie odznacza się wielką starannością, bacząc zwłaszcza na niezwykłą wielkość planszy. Rysunek dał pan Lerue, na kamieniu wykonał go p. Cegliński, a o dokładności ich pracy ten tylko może nabrać przekonania, kto porówna rozłożenie znanych sobie dobrze gmachów

z oznaczeniem ich na karcie. Żaden tam kącik nie pominięty, każda uliczka, każde przejście, każde podwórko zamieszczone. Szkoda tylko że w napisach ulic i gmachów znajdują się nazwy francuzkie przy polskich. To niekoniecznie jest potrzebnym, a przynajmniej jeżeli już są nazwy francuzkie, niechże będą tak jak powinny być, bo w żadnym razie Nalewki nie mogą się nazywać *rue des aiguères*. Wiejska *rue de la colonie*, ani Tamka *rue de la digue*. Tém bardziej Hoża ulica nie może się nazywać *rue gaié*, bo nawet *gaié* po francuzku znaczy wesoła a nie hoża. Wszakże dziwnymby było gdybyśmy miały na ulic Paryża, chcąc je tłumaczyć po polsku, przewzali: *rue saint Louis au marais* ulicą św. Ludwika w bagnie, *rue val de grace* ulicą doliny łaski, *plac quinze vingt* placem piętnastu dwudziestu, a *rue queue de porc* ulicą ogona wieprzowego, że nie wspomnę o wielu innych jeszcze dziwniejszych mianach. Kto chce nazwać ulice nasze po francuzku, niechaj powie: *rue miodowa*, *rue marszałkowska*, a nie minie się z sensem i Francuz ich inaczej nie nazwie i nie zrozumie.

Rozpoczęły się już piątki literackie u pana Przędzieckiego. Wieczory te, od kilku lat już istniejące, coraz liczniejsze zgromadzają grono. Również pan Józef Korzeniowski przedsięwziął 1go każdego miesiąca zgromadzać u siebie kółko uczonych, literatów i artystów. Pierwszy taki wieczór miał już miejsce w zeszły czwartek i mnóstwo zebrało się gości. Pan Korzeniowski napisał nowy dramat pięcioaktowy *Beata*, którego treść wziętą jest ze współczesnego życia. Nie śmiem wróżyć jak prędko dramat ten będzie przedstawionym na scenie, tyle razy bowiem już mię w tym względzie wróżyły zawodziły, że lękam się w obec publiczności uchodzić za fałszywego proka.

Jeszcze jeden wypadek przychodzi nam dziś zanotować. Pewna rodzina, wyjeżdżając w tym roku do Paryża, na bardzo praktyczny wpadła pomysł. Ci państwo postanowili zabrać z sobą tutejszego kucharza, żeby przez czas ich pobytu w stolicy mody wyćwiczył się tam w sztuce kucharskiej. I wszystko poszło im po myśli: kucharz nauczył się gotować jak Vatel, płacno bowiem za jego terminowanie w jednej z najznakomitszych restauracyj paryzkich. Po dokładnym zbadaniu wszystkich sekretów francuzkich, trafiła mu się tam nawet wyborna służba; ale wdzięczność nie jest czczym wyrazem, i mistrz powrócił do Polski wraz ze swoimi orędownikami. Lecz o marności rzeczy ludzkich! Pokazało się że przyprawianie potraw sposobem paryzkim, wymagało kilkakrotnie większych wydatków, a tu już podróż nadszarpnęła fundusze, oszczędność więc stała się konieczną i z wielkim wstydem kucharz zmuszony został wrócić do dawniej polskiej metody. Mówią że widząc brak pola do rozwinięcia swoich talentów, stara się o inne miejsce.

Wypadek ten przekonywa nas jak niesłusznie dzienniki tutejsze żalą się na zamożne domy nasze, iż w niczem nie dopomagają do kształcenia się młodzieży i torowania drogi talentom; widzimy bowiem iż tacy co poczuli się do tego obowiązku, źle wyszli na swoich ofiarach.

Od czasu umieszczenia na wystawie obrazów krajowych Barbary Radziwiłłówny Sinmmlera, coraz więcej bywa tam osób. Pomiedzy innymi gośćmi widzieliśmy ks. Władysława Sanguszkę, prezesa krakowskiego towarzystwa sztuk pięknych. Podobno porobił tu niektóre kupna i obstalunki.

Ż łosną mamy wam donieść wiadomość: jęczmiona nie udały się w tym roku, więc piwo będzie gorsze. Już wódka drożeje, z piwem może toż samo się stanie.

O Bogi nieśmiertelne, cóż to będzie z nami!?

NAGROBEK KAROLA HR. BRZOSTOWSKIEGO.

Od szanownego wydawcy dzieła p. n. „Pomniki i mogiły Polaków na cmentarzach zagranicznych“ p. Eustachego Marylskiego, odebraliśmy rysunek nagrobka ś. p. Karola Brzostowskiego, znajdującego się na cmentarzu w Montmorency, niedaleko Paryża, który, jako dodatek do życiorysu i wizerunku tego męża, zamieszczonego w Nr. 5 naszego pisma, czytelnikom podajemy. (Ob. str. nast.)

CHŁOPI W CZECHACH Z OKOLIC PILZNA.

Dając czytelnikom Tygodnika typy chłopów czeskich, postanowiliśmy, dla lepszego zrozumienia ich opisu, przedstawić w jaknajkrótszych ramach ogólny rys samego kraju i jego miejscowych stosunków. A kraj ten godzien jest naszej uwagi, bo jego romantyczne położenie, bogactwa jakimi natura hojnie go obsypała, a nadewszystko uderzające podobieństwo mowy i jednoplemiennosc za nim przemawiają. Nie możemy tu się wdawać w obszerne traktaty, chociaż kwestya ta, od r. 1849 nietknięta piórem polskim, gwałtownie się domaga, aby przeciw zdawkowa znajomość Czech: „że to jest kraj słynący uleczalnemi zdrojowiskami, wyrobem szkiele i mnogością muzykantów,“ zmieniła się w jakiś gruntowniejszy sąd. Nikt nas zapewne nie pomówi o zarzut urojony, bo trudno utrzymywać abyśmy *dokładnie* małąką tę a ciekawą kraję znali, kiedy najbardziej odwiedzane miejsca mianujemy nazwami niemieckimi, co dla Czechów pzwadziwą staje się przykrością. Właściwie chcemy czytelnikom przypomnieć, że pasmo naszych Karpat, ciągnąc się nieco ku północo-zachodowi, zmienia się w *Jeszenickie góry*, północo-wschodnią granicę Morawy stanowiące; że dalej też góry olbrzymiejąc i dziwnie się w kształcie skośnego kwadratu łamiąc, zamykają dość wielką powierzchnię, bo 945 mil kwadratowych wynosząca; że tak dokoła górami otoczona ziemia, leżąc między północną a południową Europą, miano jej serca nosi, a że jak w sercu przywykliśmy mieć najszlachetniejsze uczucia, tak tu znów natura, niby na stwierdzenie naszych przypuszczeń, wybrała sobie ten punkt za ognisko, w którym hojnie rozsypała swe niedostępne dla pióra a nawet i dla pędzla wdzięki, bogactwa, tak iż nas nikt o przesadę nie posądzi, jeśli zawołamy że ziemia ta jest kolosalnym ogrodem, z wszelkimi pięknościami jakie tylko wyobraźnia zdoła sobie utworzyć, otoczonym murem złożonym z *Krkonosznych* olbrzymich (Riesengebirge 4950 stóp nad poziom), Hercińskich, *Krusznych-kruszcowych* gór (Erzgebirge), Czeskiego lasu i Szumawy, że ogród ten obficie skropiony wodami w postaci trzech większych rzek: *Laby* (Elby), *Weltauy* (Moldau, a ztąd niewłaściwie Mołdawa) i *Ohrzy* czyli *Oharki* (Egerfluss), nieprzeliczonego mnóstwa strumieni, jezior i strumyków, przerzynających najcudowniejsze zarośla i gaje, że ogród ten mówię zarzucony został drogiemi kruszcami, kamieniami, jak: słynnemi czeskiemi granatami, szafirami, topazami, ametystami, chalcedonami, onyksami, agatami, jaspisami, opalami, marmurem, serpentynem i olbrzymim granitem (żula), wśród przeróżnej roślinności, celującej winogradem, swojskiego dostarczającym wina. W samym zaś środku tego ogrodu, jakby na przecięciu się dwóch przekątnich kwadratu, leży niby najwięcej drogocenny brylant owa prastara, pięknościami natury i sztuki ponad inne europejskie ogrody celująca Praga, owa Praga, której góry i wody, kościoły i pamiątki tak bardzo Kraków przypominające, ani na chwilę z raz utworzonym w myśli obrazem rozstać się nie pozwalają. Przymioty o których dopiero się wspomniało stały się powodem, iż wiele okolic pootrzymywało jakieś wyidealizowane nazwy, jak np. okolica między *Strzedohorzim* a *Krusznem Podgórzem* nosimiano *czeskiego raju*. Śmiało więc rzec można, iż w Czechach jest wszystko, ryby i grzyby, prócz soli, na której istotnie zbywa.

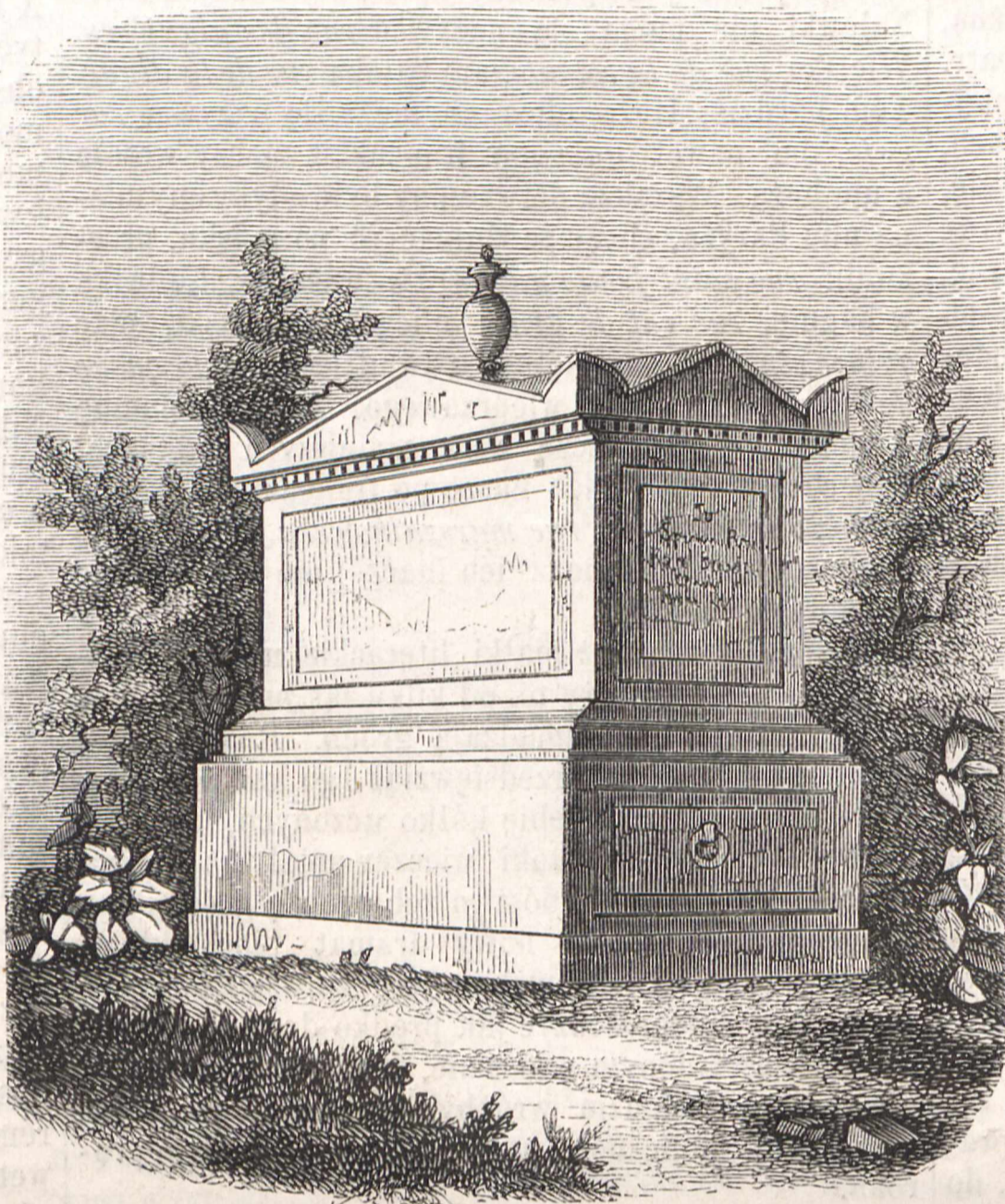
Na téj przestrzeni, niewynoszącej nawet tysiąca mil kwadratowych, stosunkowo mieszka bardzo wiele ludzi, bo aż 4 i pół do pięciu milionów. W dawnych czasach, bo jeszcze przed Chrystusem, ziemię tę zamieszkiwali *Bojowie*, zwani przez Rzymian *Bojoheim*, zkad powstało łacińskie *Bohemia* a niemieckie *Böhmen*, *Böhmen*. Po wypędzeniu Bojów przez Markomanów i wreszcie po upadku ostatnich w walkach z Atyllą, nadszarpnęli z Chrobacy wojewoda Czech z drużyną, od którego nazwa Czechowie przeszła na cały naród. (Wedle Palackiego. Inni historycy twierdzą, że od najdawniejszych czasów plemię słowiańskie tam mieszkało). Po tysiącu léciech, po świetnych chwilach jakimi się ten naród cieszył za Ottokarów, Wacławów, Karola IV, po burzach jakie w początku XV wieku nim miotaly, gotując mu wybitną i głośną kartę w historii, po dobrobycie jaki mu zapewnił król Jerzy z Podjebradu i po nieszczęsnym upadku w bitwie pod *Białą górą* r. 1620, jakąż dziś smutną

różnicę spostrzegamy. Owa ludność, niegdyś czysto słowiańska, już dziś jest podzieloną prawie w połowie na czystych Słowian w liczbie trzech milionów i na Czecho-niemców (Deutsch-Böhmen) w ilości blisko dwóch milionów. Czecho-niemcy nie są pomieszani bezładnie ze Słowianami, lecz przeciwnie zajmują oddzielną część kraju, rozciągającą się na samych granicach zachodnio-północnych Czech, t. j. przy zetknięciu się z Bawaryą i Saksonią. Dokładnie to się da widzieć na mapie Wagnera, w której pas czerwony, już niestety dość szeroki, ten lud będący wytworem dwóch ostatnich wieków wyraźnie oznacza. Czecho-niemcy, jak się sami nazywają, już nie umieją po czesku; zrodzeni z Niemców na czeskiej ziemi osiadłych, zatrzymali ich język, strój i obyczaje, a dziś nie mogą się nazwać Czechami ani Niemcami, wymyślili sobie powyższe miano. Pozostałe zaś trzy miliony Słowian zatrzymały nietylko język, ale wszystkie zwyczaje narodowe, a klasa rolników nawet po niemiecku zupełnie nie umie. Wszelako każdemu z czytelników nieraz się dało nietylko słyszeć, ale nawet czytać o zupełnym zniemczeniu Czech. Zkądże to pochodzi? Odpowiedź bardzo łatwa i od razu rzecz wyświecająca. Na wielkie nieszczęście dla Czechów, owe mineralne źródła, tak często i niejednokrotnie bez potrzeby odwiedzane, jak *Maryjańskie łaźnie* (Marienbad), *Karolowe wawy* (Karlsbad), *Cheb* (Eger), *Franciszka łaźnie* (Franzensbad) i *Cieplice* (Toepplitz) leżą w pasie przez Czecho-niemców zamieszkałym; nic więc dziwnego że przybysze, znajdując się wśród niemieckiego żywiołu, wyrabiają sobie pojęcie zniemczoności, które z wielką krzywdą na cały naród uważają się nietylko ustnie przenosić, ale w korespondencyach do pism czasowych rozszerzać. Gdyby te wędrowne ptaki, które bez potrzeby rok rocznie gromadami do Cieplic odlatują, jaśniej na kraj odwiedzany patrzyły, gdyby sobie zadały już nie powiem nieco trudu, ale gdyby wrodzoną każdemu człowiekowi ciekawość zapragnęli zaspokoić, wnetby się przekonali o rzeczywistym położeniu i o prawdzie słów naszych. Oprócz wspomnianych dwóch pierwiastków znajdują się tu Żydzi w liczbie 80,000, lgnący więcej do Niemców niżeli do Czechów, którzy Żydów

nie lubią, już dla samego języka niemieckiego. Do podanej tu 3 milionowej ludności słowiańskiej doliczyć można ludność Morawy, czytającą po czesku. Morawskie margrabstwo na 387 milach kwadr. ma 1,800,000 dusz. Z tej liczby przypada na Słowian 1,300,000, na Niemców 480,000 a na Żydów 34,000.

cyjne, a jak tu zowią polityczne, każdy zaś kraj dzieli się na 12 do 20 *okresów* (okręgów), zwanych od miast okręgowych. W okręgach są zwykle *okresnie urzędy* (Bezirksamt), które nietylko administracyjne lecz i sądowe sprawy załatwiają. W *krajakiem mieście* jest zwykle *krajaki sęd*. W Pradze *Wrchni zemsky soud* (Oberlandsgericht) jest sądem drugiej instancji, a sąd trzeciej instancji znajduje się już w Wiedniu dla całego państwa austriackiego.

Po tym krótkim rysie musimy zwrócić uwagę na samą ludność, którą w Czechach składają w głównej części chłopci, a potem mieszcianie. Szlachty czeskiej niema, wprawdzie jest 132 rodzin szlacheckich, ale te, prócz siedmiu, już zniemczwały, a tęp samym za odpadłe są uważane. Prócz korzyści jakie z ziemi ciągną, nic ich nie łączy z narodem. Stosunek zaś chłopów do tych panów niezmiernie jest ciekawy. Posiadacz ziemi, pan, zowie się tu *majtel* lub *statkarz*, bo majątki dzielą się na większe, noszące nazwę *państw* i na mniejsze zwane *statkami*. Majątkami temi zarządzają urzędnicy, posiadający odpowiednią kwalifikacją, do jakiej przez zdawanie egzaminu z prawa i administracji przychodzą, lecz wynagrodzenie od panów pobierający. Urzędową ich cechą stanowi zwykła czapeczka, skopkowata, z połączanymi opaskami i różą złożoną z orzełkiem. W państwach głównym urzędnikiem jest *werchni* z prawnikiem, kassyerem i wielu innemi pomniejszych pomocnikami, a w statkach pierwszą figurą jest *sprawec*. Do tych urzędników należy cała administracja dóbr, nad którą znów czuwają urzędy obwodowe. We wsiach są jeszcze wybieralni urzędnicy zwani *rytirzami* czyli sędziami, do których należy załatwianie spraw familijnych i administracyjno-policyjnych, oraz dozór nad szkołą. Oprócz tego jest wójt, także wybieralny, *przedstawienyj*, którego nazywają



NAGROBEK KAROLA Hr. BRZOSTOWSKIEGO.

Całe królestwo czeskie dawniej dzieliło się na 16 krajów (obwodów), od r. 1849 na 7, a obecnie na 13 które są: 1 prażski, 2 budiejowicki, 3 taborski, 4 czaslawski, 5 chrudzimski, 6 kralohradecki, 7 jicziński, 8 boieślowski, 9 litomierzycki, 10 żatecki, 11 chebski, 12 pilzeński i 13 pisecki.

W każdym kraju jest c. k. *krajaki* (obwodowy) urząd (Kreisamt), który załatwia sprawy administra-

tęz *starostą*.

Obcy, przybyszy do wsi, przedewszystkiem uderzony zostaje samą jej powierzchownością. Wieś czeska nader mile a znacznie odmiennie od naszej się przedstawia. Najprzód zwracają uwagę domy murowane o piętrze. Nie tworzą one kolonii, lecz stosownie do miejscowości albo malowniczo grupują się po podgórzach, albo w niewielkiej odległości



FAMILIA CZESKIEGO CHŁOPA. (Podług rys. Wl. Kraupy).



CHŁOPI CZESCY W DZIEŃ OBRZĘDU ŚLUBNEGO. (Podług rys. Wl. Kraupy).

rzędem są poustawiane. Każdy dom ma obok ogród, a najczęściej w nim stoi; oparkanie albo piękne z cegieł lub kamieni obmurowanie zamyka gospodarskie budowle, jak stodołę, spichlerz i oborę. Często z przyczyny górzystego położenia kraju, wioski zajmują wąwozy i im odpowiedni kierunek przybierają; na równinach tworzą ulice. Dom czeskiego chłopca, bo chatą jego siedziby żadną miarą nazwać się nie godzi, pokryty jest zwykle dachówką, czysto obielony, bez żadnych czarnych pasów, którymi domy chłopów saskich oko podróznego przerażają, przypominając mu strój żałobny. Wnętrze zaś domu czeskiego chłopca odznacza się czystością aż do drobiazgowości. Podłoga w sieni równie jak w izbach, (wypadałoby raczej pisać jak w pokojach) bielutka, ściany podobnie białe, sufit zastępuje miejsce powały. Na dole miejsca się po jednej stronie sypialnia, po drugiej kuchnia; na piętrze pokój w proste opatrzony meble służy za izbę gościnną. Mówię meble, bo przy ścianach znajdują się politurowane lub malowane stołki, biurka, komody. Druga izba na piętrze służy za schowanie zebranego wina i innych owoców. Opisane mieszkanie należy do bardzo skromnych, ale widzieć można u zamożniejszych domy nawet bardzo duże, od 6 — 8 okien frontowych mające, i o odpowiedniej liczbie pokoi. Wtedy już mieszczą się tam i rodzice. Takie domy u nas w wielu wsiach ledwie mają sami dziedzice. Drewnianych domów trudno się dopatrzeć, choć zapewne w stronie południowo - zachodniej być muszą; winnych częściach są wszystkie murowane, bo mając kamienie na każdym kroku, łatwiej i taniej takie budowanie im przychodzi, niż z drzewa. W oborze tenże sam ład i zamożność, zawsze kilka krów i wołów się znajduje. Konie najmniej dwa w stajni widzieć można. Zamożność niektórych chłopów dochodzi do tego stopnia, że jak np. w okolicy *Mielnika* wielu z nich jeździ *koczarami* (pojazdami), co bynajmniej nie przeszkadza im zajmować się gospodarczymi pracami, a gazeta tygodniowa *Posel z Prahy* umieszcza litografowane wizerunki pod napisem „*Galeryja czeskich gospodarzy, przemysłowców i kupców.*“

Cechą charakterystyczną chłopca czeskiego jest praca, ochędóstwo i gościnność. Pod względem przemysłu musi ustąpić przed chłopem niemieckim, chociaż i jemu na nim nie zbywa. Typ właściwego Czecha jest wybitny, rysy jego słowiańskie znacznie się różnią od czesko-niemieckich. W ogóle fizycznie chłop tutejszy nie jest bardzo rozwinięty, wzrost mierny, budowa szczupła, choć znów tego za ścisłe prawo uważać nie należy. Uderzającym tylko jest w powierzchowności Czecha, że faworytów ani wąsów nie nosi, a bez swojej fajeczki obejść się nie może. Pod względem ubiorów panuje tu rozmaitość: w każdym obwodzie inaczej się ubierają. Jest to właściwe nie tylko Czechom; przecież i u nas strojne ubiór Krakowiaka, różni się od ubioru Skalbierzaka, a tego znacznie od chłopca z okolic Częstochowy, wybitniej

od Mazura, Podlasiaka lub Kujawiaka. Przedstawione na rysunku typy pochodzą z obwodu pilźnieńskiego, niedaleko miasta Pilzna. Obwód ten stroną zachodnią dotyka Bawaryi i częścią leży już w owym pasie Czecho-niemców, o którym wyżej wspominałem; zawiera też 358,793 mieszkańców, w większej połowie Czechów, a w mniejszej Czecho-niemców. Skutkiem tego i ubiór przez pierwszych używany już uległ nieco modzie niemieckiej. Chcąc mieć dokładne pojęcie o ubiorach, należałoby przedstawić typy wszystkich obwodów, co nie jest rzeczą łatwą. Tu winniśmy dla objaśnienia rysunku Nr 2 dodać, że on przedstawia strój świąteczny. Zwyczajne ubranie u mężczyzny stanowi czapka okrągła, w formie pół-

W tyle takiego czepka znajduje się ogromna kokarda, do skrzydeł małego wiatraku podobna, z dwiema długo wiszącymi wstążkami. U koszuli kołnierzyk w falbankę ułożony, rękawy krótkie, gorset z czerwonymi wypustkami, niezawsze zgrabną kibić okalającą; spódnica krótka niżej kolan, kolorowa i takich fartuch dopełniają ubioru. A, zapomniałem całkiem o uderzającym dodatku, o czerwonych pończochach i trzewikach z czarnego aksamitu na korkach. Do obrzędu ślubnego używa się stroju nieco odmiennego. Pan młody np. przy kapeluszu wstążki długie ma przypięte, a druchny stroją się w bukiety z kwiatów. Noszą mężczyźni także i rodzaj szpencerków skórzanych.



PAN MŁODY I DRUCHNA, Z OKOLIC PILZNA W CZECHACH. (Podług rys. Wl. Kraupy).

kuli, czerwona, z jasnymi przepaskami u wierzchu zbiegającymi się, naokoło pasem futrzanym obłożona. Na tę czapkę dopiero wkłada się kapelusz. Surdut z sukna ciemno-niebieskiego, długi prawie po kostki, stanowi zwierzchnią suknię. Pod tym surdudem znajduje się druga suknia niebieska, z czerwonymi wypustkami, lecz znacznie krótsza, prawie do kolan; podobna ona jest do *hamizeli* noszonej w Krakowskiem. Pod tą suknią jeszcze noszą czerwoną kamizelkę. Spodnie zawsze skórzane, łosiowe, koloru złotego, ozdobione na przodzie różnymi kolorowymi wyszywaniem; dolne końce ukryte są w butach o długich cholewach i ze sztylpami. Taki w tej okolicy jest strój mężczyzny. Kobiety mężatki noszą na głowie czepki, przypominające ubrania głowy Saksonek.

naszywaniach, ale po prostu noszą suknie różnokolorowe, perkalikowe, z cienkiej materii wełnianej, a nawet jedwabne z długimi rękawami. Suknia taka, zapewne na gorsecie czy tam sznurówce spoczywająca, w miarę pod szyję wycięta, uwydatnia nadzwyczaj zgrabne kibici, którymi kobiety tej okolicy chlubić się mogą. Każda, jak to mówią, jakby ulana, utoczona; dodaj do tego czysto słowiańskie rysy, wzrost dobry, niebieskie oko, ciemne włosy, od niechęcia chustką na krzyż złożoną okryte, skromność, która przecież do świętości nie rości sobie prawa, a będziesz mieć czystej krwi Czeszkę z ludu, o pięknym obliczu, wesołym spojrzeniu i nad podziw zgrabną. Ale takich piękności nie szukaj w Pradze, to napróżno, bo tam ich nie znajdziesz; podobne kwiaty tylko w otwartem

W innych obwodach ubiory są więcej malownicze, ale co najgłośniejsza że w trzech okręgach, jak: beruńskim, bolesławskim i chrudimskim nieco zbliżone do naszych, przynajmniej z czapki, zwaną u nas *wściekłą czapą*. Jest to, jak wiadomo, czapka futrzana, najczęściej barania, wysoka, z boku rozciąta i trzema kokardami ze wstążek kolorowych ustrojona. U nas zwykle po miasteczkach jest także sama używana. Chociaż w tych trzech obwodach czapki noszą prawie jednakowe, nie idzie zatem przecie, aby reszta ubioru była także sama, przeciwnie ubiór ten znacznie się różni. Chłop bolesławski i beruński nosi buty ze sztylpami, kiedy chrudimski trzewiki; pierwszy i drugi spodnie łosiowe, ostatni z innej materii; tamci krótkie surduty, a ten szpencer. Kobiety noszą także i tutaj czerwone pończochy, gdy w Litomierzyckiem niebieskie. W Budziejowickiem mężczyźni mają czapki podobne do noszonych na Litwie lub na Podolu, ale tylko czapki.

Ubiór znów chłopów z obwodu prażskiego jest całkiem odmienny. Dziwić to nikogo nie powinno, bo często nawet w jednym obwodzie kilka odmiennych strojów napotkać można, gdyż w każdym niemal *okresie* (okręgu) inaczej się ubierają. W okresie prażskim kobiety, (zaczynam od kobiet nie przez grzeczność, ale że strój męski tutaj nic zajmującego nie przedstawia) ubierają się gustownie. Nie kochają się one w tych dziwolągach niemieckich, pstrociznach,

polu lub pośród gór rosą. Każdy z tych kwiatków mógłby artystycznie za model służyć, taka tu panuje proporcja i równość linii. Mała chustka okrywająca głowę w ten sposób, że pod szyją jest spięta, a w tyle zwieszona, przez co zasłania uszy i część policzków, mały rąbek tylko włosów ukazując, niezmiernie wdzięk tych kobiet podnosi. Rzecz jasna przecież, że i najpiękniejsza chustka nicby tu nie pomogła, gdyby natura owego wdzięku poskapiła. W taborskim okręgu podobnie też głowy kobiety okrywają. W beruńskim narzucają chustki większych rozmiarów, pod którymi mieści się czepek, skutkiem czego efekt ginie. Czeszka jest śmiała, chętnie rozmawia, lubi się nawet pośmiać, nie boczy się, jakto robią wiochny po naszych wsiach. Śmiałość ta, a raczej pewność siebie pochodzi z nabytą ogłady i wiedzy, bo każda z nich czyta. Zawadziwszy o stosunek z książkami, muszę nadmienić, że pod względem umysłowym chłop czeski przewyższa niemieckiego i francuzkiego. O tym że każdy czyta, i pisze już się nie mówi, bo w każdej wiosce jest szkoła, do której dzieci zobowiązane są chodzić, jak to i w Galicyi od roku 1850 rząd zaprowadził, pod karą na rodziców. W szkole, oprócz zwyczajnych nauk, uczą się i muzyki. Po wioskach znajdują się wspólne księgozbiory, a i w mieszkaniu nie trudno się spotkać z kalendarzem i kilkoma książkami. Wielu chłopców idzie do szkół wyższych, i co jest rzeczą ważną, wraca do gospodarstwa; wcale im się tam nie marzy przebić się w *kabat* (surdut), mundur lub habit. Ztąd też gospodarstwo postępuje naprzód, co się także objawia w „Hospodarskich Nowinach,” w większej części pisanych przez chłopów, a redagowanych przez znanego z nauki i cenionego autora, Dra med. F. S. Kodyma. Tu dość wspomnieć artykuły Józefa Suka chłopca z Czyczowic, Franciszka Fica, Franc. Skopalika, Józefa Januszaka i wielu innych, pisane jasno i z wielkim pożytkiem dla gospodarstwa krajowego. W Nowinach Hospodarskich znaleźć można ich artykuły wkraczające w zakres mechaniki i nauk przyrodniczych. Uderzającym jest że chłop czeski w rozmowie prawie zawsze bywa ironiczny, umie przysłowia i niemi się popisuje, chociaż udaje nieuka, jest gościnnie i chętnie owocem swęj pracy się chlubi.

Tyle o rolnikach. Na zakończenie nie pozostaje mi jak tylko zachęcić czytelników do odwiedzenia krainy Bojów, zapewniając ich o sympatycznym przyjęciu. Sympatya ta objawia się już bardzo wyraźnie w uczeniu się języka polskiego, do tego stopnia, że tygodnik *Posel z Prahy*, redagowany przez młodego a czynnego Wojciecha Bielaka (Szymaczka), umieszcza artykuły polskie z czeskim tłumaczeniem, dając wiérz polski a nad nim czeski. Zresztą wiadomo, że podobieństwo obu narzeczy jest tak wielkie, iż Czech z Polakiem bez poprzednich studyów od razu się zrozumie. Przecież w XVI wieku język czeski wielką miał wziętość w Polsce, a Rej z Nagłowic w „Zwierciadle” tak się odzywa:

Pierwéj gdy co zacnego i w Polsce zmaowano,
Tedy to czeskiém słowem zdzierżéć obiecano.
J. F. Nowakowski.

KOMMUNIKACYE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Uczony doktor Marcin z Urzędowa w herbarzu swym powiada, iż ojcowie nasi, opuściwszy kraje kędy wino tłoczą, przybyli w strony gdzie jeno miody sycą a piwa warzą na napitek. Jakikolwiek przecież początek naznaczymy narodowi polskiemu, to pewna iż pszczolnictwo było u nas jedną z najdawniejszych i ważniejszych gałęzi gospodarstwa. Dziwnie też rozwojowi tego przemysłu sprzyjały miejscowe kraju naszego warunki, mianowicie obszerne puszcze łączkami i polankami przetykane, gdzie pracowita pszczołka znajdowała obfity pokarm, a w pniach wiekowych dębów, buków i sosen bezpieczne schronienie. Dzikie to i samorodne bartnictwo nie wymagało prawie żadnej pracy, a przynosiło przecież znakomite korzyści ze sprzedaży wosku i miodu, który zastępował dzisiejszy cukier. tudzież wszedł w powszechne użycie jako trunek narodowy i długo wzmagał wesołość uczt naszych, aż go pijaństwo, szerzące się wraz z moralnym upadkiem narodu, wyгнаło.

Z stopniowém wytrzebianiem lasów, i bartnictwo dzikie usuwało się w głąb puszczy niedotkniętych jeszcze siekierą drwała lub karczownika, gdzie bartni-

cy jedyne mieli współzawodnika w podbieraniu miodów w niedźwiedziu. Najdłużej utrzymywało się ono w lasach i puszczech Mazowsza, bo tam bartnicy biegli w swęj sztuce tworzyli rodzaj oddzielnej korporacji, mającej osobnych przewodników, tak nazwanych *starostów miodowych* (Capitanei mellis) i rządzącej się osobnym prawem, w razie sprzeczki o pszczoły, barcie lub miodobranie między stowarzyszonymi. Do dziś dnia nawet, mimo zniesienia dzikiego bartnictwa w 1828 i 1829 roku, szczątki tych przedwiekowych korporacji utrzymują się, mianowicie w wielkich borach między Narwią i Bugiem, w puszczy ostrołęckiej, między Ostrołęką i Myszeńcem, w puszczy rożańskiej i zielonej pomiędzy Prasnymem a Chorzelem. Rozwój jednak tego samorodnego bartnictwa daleki jest od świetności czasów poprzednich, a produkcja miodu i wosku zaledwie na miejscowe potrzeby wystarcza. Obok bartnictwa krzewiło się jednocześnie pszczolnictwo że tak powiemy domowe, przy dworach szlacheckich zarówno jak i przy chatach włościańskich, a chodzenie około pasieki stanowiło osobną umiejętność, której oddawano się z wielkim zamiłowaniem. Dawna literatura polska posiada nawet kilka bardzo szacownych oryginalnych dzieł, specjalnie pszczołom i pracom około tego pożytecznego owadu poświęconych. Pasieka mniej więcej obszerna, stosownie do zamożności obywatela, należała dawniej do zwykłych gospodarskich porządków, czém słygnęła mianowicie Ruś czerwona, jak to opiewa w swęj Roksolanii Klonowicz.

Zajęcie się pszczolnictwem wypływało nietylko z tradycyjnych zwyczajów, ale zarazem podniecaném było znakomitemi korzyściami, jakie ta gałąź gospodarczego przemysłu zapewniała krajowi. Oprócz miodu, ogromne massy wosku zużywano na potrzeby kościołów i możnych konsumentów, którzy nie znali innego sposobu oświetlania, jak tylko świecami woskowemi. Znakomite też było żądanie tych materiałów w handel zagraniczny, mianowicie do Niemiec, których kościoły do czasów reformy, podobnie jak nasze, trudne do uwierzenia massy wosku konsumowały. Tak n. p. Roscher podaje, iż jedna katedra wirtenberska potrzebowała 36,000 funtów wosku corocznie.

W miarę zmniejszania się żądań z zagranicy, skutkiem reformy religijnej—na wosk, skutkiem zaś rozwoju stosunków handlowych i wprowadzenia w użycie cukru—na miód; w miarę postępów pijaństwa i zagustowania w zagranicznych winach w kraju naszym, pszczolnictwo, tracąc bodźca w pomyslném spieniężeniu swych produktów, upadać zaczynało, do czego niemało także przyczyniały się burze i nieszczęścia miotające Polską. Rozprzężenie ładu w gospodarstwie szlacheckim, upadek i nędza niegdys zamożnej ludności włościańskiej, zniszczyły do reszty bogate pasiecznictwo i pszczolnictwo nasze, a stan opłakany tęj gałęzi gospodarstwa, tak mało pracy i nakładów wymagającej, przekazany został obecnemu pokoleniu, które nie możemy niestety powiedzieć aby ją podniosło. Rozumiemy bardzo dobrze, iż dawniejszy kierunek gospodarstwa i przemysłu, stosownie do potrzeb społecznych i zwyczajów, zmianom ulegać musi i że rozwój pszczolnictwa nie może dojść już dzisiaj do tęj świetności jak niegdys; lecz przyznać potrzeba, iż terażniejszy stan hodowli pszczoł nie odpowiada potrzebom kraju wewnątrz i żądaniom zagranicy, które jak dawniej tak i teraz istnieją, a jeszcze zwiększonymi być mogą.

Najlepiej podobno z obecnym stanem naszego pszczolnictwa obznajmi nas szereg liczb statystycznych, które przecież uważać należy tylko za przybliżone, bo ścisłość jest w tym względzie niepodobną, z łatwych do pojęcia przyczyn. Otóż według obliczeń przed laty ośmiu dokonanych, w gubernii warszawskiej znajduje się ulów dworskich i włościańskich 31,295, produkujących rocznie około 15 tysięcy garncy miodu i 20,000 funtów wosku, wartości 25,000 rsr.; w gubernii lubelskiej znajduje się pasiek 2450, w nich ulów 38,898, a prócz tych barci leśnych 1120, razem 40,018 sztuk, wydających miodu garncy 48,400 i wosku 46,400 funtów, wartości 82,000 rsr. W gubernii plockiej znajduje się ulów 12,000, w augustowskiej 16,964 ulów i blisko 9000 barci, których w 1817 roku znajdowało się tujeszcze 17,736; w radomskiej 11,448, a najwięcej w miechowskiej, gdzie i zagrodnicy pilnie około pasiek chodzą. Przyjmując rozległość gubernii warszawskiej

672 mil kwadr., przypadnie na milę 52 ulów, w lubelskiej (564) przeszło 70, w plockiej (303) około 40 i t. d. Cóż to za różnica z tém, co było dawniej (jak świadczy Opaliński) przeszło tysiąc na milę!

Lecz jak powiedzieliśmy, nie pragniemy powrotu tego stanu dawniejszego, ówczesnymi potrzebami wywołanego; żądamy tylko rozwinięcia pszczolnictwa według wymagań obecnych, a że te istnieją, nie potrzebujemy wykazywać, bo ceny i wosku i miodu, tak niesłychanie wygórowane, najlepiej tego dowodzą.

Zdanie to nie my sami wyznajem; w przedmiocie tym niejednokrotnie już głos podnoszono, czego najlepszym podobno dowodem jest świeżo zawiązana w Galicyi spółka, a raczej stowarzyszenie, mające na celu uprawę ogrodnictwa i nadanie popędu do rozwoju pszczolnictwa. Przykład ten powinnybysmy skwapliwie naśladować, bo jakkolwiek nie brak nam pojedynczych usiłowań w tym kierunku, działanie jednak zbiorowe okazałoby się w skutkach potężniejsze. Zadaniem takiego towarzystwa, obok krzewienia pszczolnictwa, byłoby: wpływać na upowszechnienie racjonalnych sposobów prowadzenia gospodarstwa pszczolnego, zastosować ulepszenia w budowie ulów, jakie winni jesteśmy ostatnim czasem, tudzież popierać usiłowania aklimatyzacyi nowych gatunków pszczoł, które możnaby przyswoić krajowi naszemu.

We wszystkich tych kierunkach gospodarstwa pszczolnego, kraj nasz, jak powiedzieliśmy, poszczycić się może usiłowaniami niebezowocnymi pojedynczych obywateli. Oprócz licznych zwolenników ulów metody Dzierżona, szanowny ks. Dolinowski z Hańska w powiecie radzyńskim, wprowadził nową metodę ula Hubera, tak nazwaną *ramową*, i ulepszywszy ją, kilkanaście ulów podobnych posiada w swojej pasiece; podobnież p. Aleksander Pawłowski z Woli Gosławskiej, przysłużył się wydoskonalonym ulem przewiewnym, za co otrzymał medal na wystawie łowickiej. Do Mianocic w okręgu miechowskim, od lat dwóch sprowadzono nowy gatunek pszczoł włoskich, które więcej produkują miodu; uskutecznił to i p. Maciej Ordęga ze Strzegocina, ... że pominie wiele innych przykładów wprowadzonych ulepszeń, lub zacytowanie znaczniejszych gospodarstw pszczolnych w kraju naszym istniejących. Lecz jakkolwiek usiłowania te nie pozostają bez skutku, sądzim iż tylko stowarzyszenie pszczolarzy mogłoby dzielniej i powszechniej wpłynąć na rozwój tęj gałęzi przemysłu. Spodziewać się należy, iż galicyjskim rolnikom nie pozwolimy się w postępie wyprzedzić.

Że oczekiwania nasze pomyslnych wypadków z usiłowań wspólnych nie są marzeniem, dowodem tego jedwabnictwo. Początkowo z niedowierzaniem i wahaniem przyjęta myśl hodowli jedwabników w kraju naszym, coraz liczniejszych zjednywa sobie zwolenników, coraz więcej staje się czynem na polu bezpośredniej praktyki. Spostrzegamy to mianowicie w rozpowszechniającej się uprawie morwy białej, bez której niepodobna myśleć o zaprowadzeniu jedwabnictwa. Wszelkie dotychczasowe usiłowania zastąpienia morwy innymi roślinami na pokarm gąsienicom, nie doprowadziły do żadnych pewnych wypadków, a toż samo należy powiedzieć o odmianach jedwabników żywiących się dębem, sałatą, liliami; dają one bowiem jedwab' nie mogący wytrzymać żadnego porównania z wydawanym przez gąsienicę żywioną białą morwą.

W racjonalném więc prowadzeniu tęj gałęzi przemysłu, plantacye morwy są pierwszym krokiem i one warunkują rozwój jedwabnictwa. Za czasów Marcina z Urzędowa, w Polsce nie znano białej morwy. Na 359 stronie swego dzieła mówi on: „Drzewa morwowego, które rodzi jagody białe, w Polsce nie widział; które czarne rodzi, w Sandomierzu na kilku miejscach w sadach jest.” Następne chwile nieszczęść i zamieszek w kraju nie pozwoliły myśleć o przemyśle; sprowadzenie więc szczepu morwowego nastąpiło dopiero około 1770 roku, w którym to czasie kilka rodzin możnych drzewo to w własnych ogrodach hodować poleciło.

Właściwie atoli dopiero za księstwa warszawskiego zaczęto zakładać plantacye morwy po różnych miejscach. Z usiłowań prywatnych godną jest wspomnienia działalność w tym kierunku Jana Birnera, b. geometry przy kommissyi rządowej przychodów i skarbu, zamieszkałego w Warszawie, i Baczyńskiego burmistrza w Wiślicy, którzy pierwsi tę gałąź przemysłu, w przyszłości znaczne dla kraju obiecującą korzy-

ści, uprawiać zaczęli. W 1838 r. rządy gubernialne, zakupiwszy od Birnera nasienia morwowego, rozesłały je po różnych miastach celem hodowania morwy. W 1850 roku kommissya skarbu poleciła zakładanie szkółek tego drzewa po rządowych leśnictwach, co też skutecznionem w wielu miejscach zostało.

W czasie tym już morwa dosyć była rozpowszechnioną, kiedy w samej gubernii warszawskiej liczono 51,300 sztuk. W mieście Lublinie znajdowało się około 10,205 płonek morwowych, a nadto była w Kurowie, Kaźmirzu, Strynie, Rypczewie, Rakołupach w Lubelskiem i t. d. W Płockiem spotykamy tylko w Opinogórze, Niecpolsku i Dembsku po kilka morgów tym drzewem zajętych; w Sejneńskim istnieją drzewa w Serejach; w Łomżyńskim w Kolnie i Tarnowie; w Maryampolskiem w Wilkili i na folwarku Leśnictwo 12,000 sztuk wzrosłych z nasienia. W gubernii radomskiej znajduje się szkoła drzew morwowych w Giebułtowie w Miechowskiem, z kąd mnóstwo szczepów rozchodzi się po okolicy; toż samo należy powiedzieć o Stradzewie w Gostyńskim i wielu innych miejscowościach.

W miarę rozszerzania się uprawy morwy, czyniła postępy i hodowla jedwabników. Najgłówniej przyłożyli się do tego amatorowie zamieszkali w Warszawie, jak wspomniany wyżej Birner, Wołowski i inni. Zajęto się także wychowem jedwabników w dobrach guzowskich, w folwarku Leśnictwo w Maryampolskiem, w Kurowie w Siedleckiem i t. d. Na szczególną tu uwagę zasługują usiłowania w tym kierunku złożone przez prywatnych nauczycieli szkółek elementarnych, jak n. p. w Czemiernikach w Lubelskiem i w Stobnicy, poczytujemy je bowiem za najwięcej wpływowe, i tą drogą upowszechniane jedwabnictwo dostać się może do małych dworów, jeżeli o chatkach marzyć byłoby dziś za wcześnie.

Przeważny wreszcie wpływ na losy jedwabnictwa naszego wywarło zawiązanie spółki jedwabniczej, pod przewodnictwem p. Al. Kurtza, liczącej w swém gronie kilku naszych uczonych, (jak sekretarza profesora Jerzego Aleksandrowicza), amatorów i lubowników jedwabnictwa, oraz mężów którym przemysł krajowy zawdzięcza niejedną myśl, niejedną czyn pożyteczną. Dostarczanie po cenach przystępnych nasienia morwowego i jajek jedwabników, zakupywanie kokonów do założonej kosztem spółki rozwijalni, oto główne zewnętrzne czynności tego stowarzyszenia, które owoce swych usiłowań przedstawiało kilkakrotnie na wystawach krajowych, dowodząc praktycznie możności istnienia u nas jedwabnictwa. Wiemy iż na usiłowania te wielu spogląda z niedowierzaniem, wiemy iż odzywają się głosy przeciwnie, dowodzące że mamy do zrobienia ważniejsze rzeczy niż jedwabnictwo; — lecz z drugiej strony wiadomo, iż żadna myśl nie przyjęła się bez walki, bez niedowierzania i wahania się początkowego. Spokojnie też spoglądać możemy na rozwój naszego jedwabnictwa, bo znajduje się ono pod opieką stowarzyszenia, które pozwoli pięknej przewodniej myśli przeczekać uprzedzenia ogółu i zamiar swój doprowadzi do skutku na pożytek kraju.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Paryż, dnia 20 października 1860 r.

Żaden może z korespondentów paryzkich niema tak szczupłych ram do swoich sprawozdań peryodycznych jak ja, każdy z nich bowiem zasila pisma codziennie wychodzące, zatem mogące dokładniejsze przyjmować opisy; ja zaś, mając pisać do Tygodnika Illustrowanego, żądającego tylko krótkich a treściwych wiadomości z tej stolicy świata, w trudnym znajduję się położeniu, gdyż w szczupłych zarysach opisywać mam życie umysłowe tutejsze, w tyłu dziennikach i książkach, w tyłu dziełach sztuki, a oprócz tego na każdym prawie dziś placu i ulicy wyraźnie się objawiające. Zadaniu temu niepodobnaby było podołać, chcąc o wszystkiem szczegółowo donosić; otóż przy wstępie niniejszym do pierwszej korespondencji czuję się w obowiązku oświadczyć, że głównem założeniem mojem będzie pisać o tém tylko obszerniej, co w czémkolwiek dotyczy kraju naszego, o utworach zaś geniuszu francuzkiego, o obyczajach Paryża, jego uroczystościach i t. d., za ledwo wzmianki pobieżne do Tygodnika nadsyłać będę. Dzisiejsza tylko wstępna korespondencya stanowić musi wyjątek.

I.

Jak wszystko stare na świecie z wolna ustępuje nowemu, tak i dawny Paryż o wązkich ulicach, o ciemnych przejściach, o domach bez słońca i powietrza, niknie przed szerokością bulwarów i placów, śmiejących się zielenią drzew i szeroko pozwalających patrzeć w niebiosa; a jak przeszłość całej ludzkości miała od wieków swoje święte prawdy, które długo leżały w ukryciu i dopiero się teraz na światło z pod pleśni dobywają, tak i Paryża świątynie i place, zasłonięte długo przez wązkie ulice i brudne domy, dopiero teraz po ich zwaleniu ukazują swe czoła, dziś dopiero pogodnie i wesoło spoglądają na miasto, w którym już niema Richeliów i Mazarinich.

Tak, w Paryżu niknie teraz wszystko co było wązkie i ciemne, co dusiło brakiem powietrza i słońca; codzień się jego dzielnice przekształcają, wzywając pisarzy by ich przeszłość zachować, a nowe w nich zmiany i postępy przyszłości opowiedzieć. Lecz pomimo dzielności tutejszych dziennikarzy, żaden z nich jednak nie potrafi zdążyć za robotami Napoleona III; bo nim biedny felietonista obmyśli plan do swojej rzeczy, już cesarz ręką wskazał na miasto, i tysiące robotników niszczą mu przedmiot z którego miał sfotografować opis. W dni kilka, ku wielkiemu zgorzeniu archeologów, widzi się na miejscu starych ulic tylko kupy gruzu, tylko sine bluzy robotników, tylko ogromne wozy uprzążające z placu ruiny, a w parę miesięcy potem, na zwaliskach kilkudziesięciu ulic sunie się tylko jeden bulwar szeroki, czysty, zabudowany monotonną jednostajnością domami, oblepionymi w afiszę, w godła kupieckie, przy których nasze warszawskie szyldy jak karły przy Tytanach wyglądają.

Gdyby nie szczupłe ramy mojej korespondencji, to korzystając z dzieła p. de Guilhermy, mógłbym wam opisać jak Paryż wyglądał, kiedy się jeszcze zwał rzymską Lutecją, rozłożony na lewym brzegu Sekwany, w około thermów Juliusza Apostaty, których dotąd ruiny wyglądają z po za dwudziestu wieków i patrzą przez rozbite łuki okien, nie na obóz pretoryjskich legij, rozrzucony w miejscu gdzie dziś leży ogród luksemburski, lecz na bulwar sewastopolski, na jego sklepy zawałone towarami i studentów smutnych, oplakujących przekształcenie się starego *Quartier latin*, w którym tyle wieków tak wesoło bujali, w którego wązkich gotyckich ulicach tyle ich pieśni przebrzmiało, tyle swawoli echem pod starą Sorbonną skonało. Oplakują oni jedną zmianę swęj dawniej siedziby, którą Béranger uświęcił, a Paul de Kock fantastycznym piórem z taką miłością odmalował; ich jednych tylko to smuci, bo zresztą cały się Paryż cieszy, że i dawna część miasta odetchnie świeżem powietrzem i przepłoszy nieco rozhulanych studentów, jak zwierza w pustyni, którą huk siekier doleciał. Otóż gdyby nie szczupłe ramy mego listu, tobym wam pisał jak Paryż wyglądał, kiedy długo włości Merowingi, mieszkając w rzymskim pałacu, krytym podziemiem chodzili na mszę do kościoła St. Germain de Près, w którym to kościele był później opatem Jan Kaźmirz, którego tu piękny nagrobek jeszcze się dziś znajduje, przypominając że on to uratował tę najdawniejszą świątynię w Paryżu od niechybnego zburzenia. Gdy bowiem w czasie pierwszej francuzkiej rewolucyi zabijano w niej szlachtę i księży, zaczął się lud zabiierać i do niszczenia ołtarzy i grobów; nie chcąc tego dopuścić, jakiś umiarkowany od innych mieszczanin, spojrzawszy na grób naszego króla, tak rzekł do tłumu: „Obywatele, szanujcie ten kościół przez pamięć na tego króla, który dobrowolnie złożył koronę!“ Tak zrozumiawszy lud historią naszego króla, oddalił się spokojnie ze świątyni, i choć ją później zmieniono w magazyn, oddzielono jednak pomnik galeryą i temu to wypadkowi zawdzięczamy dzisiejsze jego istnienie. Mówiłbym dalej jak Paryż wyglądał za rzezi św. Bartłomieja i za czasów kiedy Ludwik XIV daje 100,000 fr. p. Montespan za jego żonę, a samego wypędza z miasta; i mówiłbym jak wyglądało to miasto, gdy za wiekowe jego grzechy spadła nań kara 89 roku. Lecz za szerokie to pole dla waszego korespondenta, którego przecież zadaniem nie jest iść w tył, kiedy wszystko rwącym potokiem idzie naprzód. Otóż chcąc jaknajprędzej przyjść do zgody z bieżącymi wypadkami, w krótkości tylko zeskicuję charakter Paryża.

Dwojako się on przedstawia, inaczej na bulwarach

dawnych, to jest od kościoła św. Magdaleny aż do giełdy położonych, a inaczej na starych, przeistoczeniem jeszcze niedotkniętych ulicach. Na pierwszych wre życie, na drugich panuje cisza; łoskotu powozu tu nie słyhać i pewnoby na ich brukach trawa porosła gdyby nie ręka porządku, która je z nich oczyszcza. Przyczyną tej nierówności ruchu w Paryżu jest owa centralizacya francuzka, która cały kraj do jednego miasta skupiła, a całe to miasto znów do jednego środka, to jest do włoskich bulwarów ściągnęła.

Niema Francuza, któryby przeciw temu nie powstawał i nie gadał o zdecentralizowaniu Francyi przez wybranie dla niej kilku punktów, w którychby się prowincjonalne życie wyrobiło; a jednak żaden z tych panów nietylko we Francyi, ale nawet u siebie w Paryżu nie może zmienić tej dążności do kupienia się w jedno miejsce.

Wszystko co tylko w Paryżu jest arystokracją nową, to jest cesarską, pieniężną, literacką i artystyczną, to jak dawniej panowało w okolicach Palais Royal i giełdy, tak się dziś znów przeniosło do jego nowych domów, zakładając sobie stolicę uciechy i mody w *Café riche*. Tutaj każdego wieczora, przed operą lub po niej, spotyka się wszystkie znakomitości Paryża, a choć już czasy Musseta, Fryderyka Soulié Sue, i Gervala zniknęły, chociaż Scheffer, Delaroché i Decamps nie żyją, jednak takich książąt zachodniej cywillizacyi jak Janin, Dumas I i II, jak Scribe i Augier widzieć można codziennie, otoczonych światłem gazu i dymu hawańskiego, opowiadających sobie dzienne wypadki i wymieniających dowcipy, a co tu dziś uradzą i obmyślą, to jutro w milionie arkuszy na świat cały się rozlata.

Bulwary te, jedyne w Paryżu a może i na całym świecie, przedstawiają charakter niejako dzisiejszej epoki. Szeroko na nich i widno, drzewa pośrodku ich rozsadzone odświeżają powietrze, ławki i krzesła pod niemi ustawione dają miły spoczynek po długim spacerze; po obu zaś stronach ulicy wznoszą się wysokie domy, nie także nie mające wspólnego z budowlami przeszłości; nie widać w nich miłej oku proporcji, nie widać klasycznych ozdób, gdyż te spekulacyi i przemysłowi musiały ustąpić. Bo pytam się gdzie może bndowniczy dać proporcją i piękno domowi, kiedy jego właściciel każe mu budować niskie piętra, dla pomieszczenia większej liczby lokatorów pod jednym dachem? Piętra te niskie, jak niskie są interesa handlarza, pną się wysoko do góry, by samą tylko masą i olbrzymością uderzać. Wprawdzie nie są i te domy bez ozdób, nie brak im rzeźby, szkła, złocień, bronzu i kolorowych kamieni, lecz te, nie tworząc z sobą harmonii, wyglądają jak pałace i tryumfalne bramy, dla dzisiejszych uroczystości na prędce stawiane. Dawniej pałac dźwigał się u dołu na ciężkich murach; dziś unosi się on na szklanym ścianie w żelazo oprawnej. Dawne frontony wieńczono gzymsem, stawiano nad niemi posągi; dziś nad gzymsem budują pod niebiosami prawie poddaszne mieszkania, a nad niemi, jako godła episierów, wywieszają szyldy, które z wysokości wykrzykują o dobrej restauracyi, wytrawnym winie i t. d. Całą tylko poezją tych domów są kwiaty, przed oknami poddaszy wystawione przez biedne stworzenia, w których nawet nędza nie potrafiła zabić uczucia szukającego piękna w naturze.

Jednak na tych bulwarach wszystko jest dla wszystkich. Stosy książek i dzienników, za niemi sale napełnione pyszną rzeźbą w bronzach i marmurach, przytém najpiękniejsze obrazy, sztychy i fotografie znajdzie tu uczony i artysta; operę, w niej czarodziejskie dekoracye, muzykę cherubinów, z całym obłokiem lekkich tanecznic; prócz tego liczne teatra, zwoje jedwabów, wyroby Wschodu i Zachodu, deszcz brylantów i drogich kamieni, wszystko to co zbytek i wykuint tworzyć tylko mogły, bale jak wschodnie powieści fantastyczne, i koncerty, i tysiące innych przyjemności aroskoszy, wszystko to znajdują ci, co lubią się stroić i bawić. Lecz najmilsze na nas wrażenie te bulwary budzą, kiedy widzimy wyrobniaka lub żołnierza czytających gazetę, kiedy doniesienia nam mówią o dziełach Wołowskich, Chodźków, Chojeckich i t. p., kiedy widzimy popiersia naszych znakomych mężów wystawione w europejskiej stolicy i otoczone nieraz tłumami uwielbiającymi je; o, to nam więcej roskoszy sprawia, niż widok najpyszniejszych pałaców, galeryj lub teatrów!

DOM ROZMUZYKALNIONY.



Ześć ci, dźwięczna Warszawo,
Cześć ci niosą artyści,
Ty okrywasz nas sławą,
A świat zółknie z zawści.
Włosi, schylicie swe czoła,
Niegdyś słynni maestrami,
U nas dziś brzmi dokoła
Do, re, mi, fa, sol, la, mi.

Dziś, Warszawiaku-bracie,
Gdy cię w świecie spotkają,
Nie rzekną: „Jak się macie?”
Lecz: „Jak tam u was grają?”
Więc górą fortepiany!
Górą skrzypce! precz z biędą!
Górą trąby, puzany!
Do, si, la, fa, re, si, do.

Górą arje, duety!
Górą tryle, pasażel!
Niech mężczyźni, kobiety
Wciąż trylują, czas każe.
Niech się święcą nadzieje
Iż nadejdą te czasy,
Że co żyje zapieje:
Mi, fa, sol, do, sol, la, si.

Ledwie słońko zabłysło,
Ledwie cienie noc cofa,
Wszędzie, nawet nad Wisłą,
Słychać Liszta, Schulhofa.
Bo dziś wszędzie muzycy,
W każdą chwilę i porę,
Od dachu do piwnicy.
Sol, do, sol, do, mi, do, re.

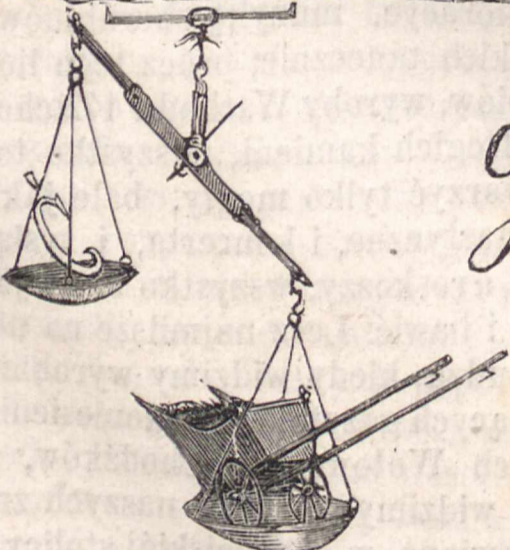
Kominiarczyk na szczycie,
Z komina ciągnąc kulę,
Nie wytrze należycie,
Ależ jak śpiewa czule!
I wciąż nogą w takt wali,
I wycina w obcasy,
Choć nut nie zna i skali,
Mi, sol, fa, mi, re, la, si.

Praczką wiesz sukienki
I zawodzi jak w lesie,
A na gwizdku małeńki
Maciuś pomoc jej niesie.
Oj zaprawdę, to dziecię
Będzie mistrz nad mistrzami
To nasz Vieuxtemps w rozkwicie.
Sol, mi, mi, fa, re, la, mi.

REBUS.



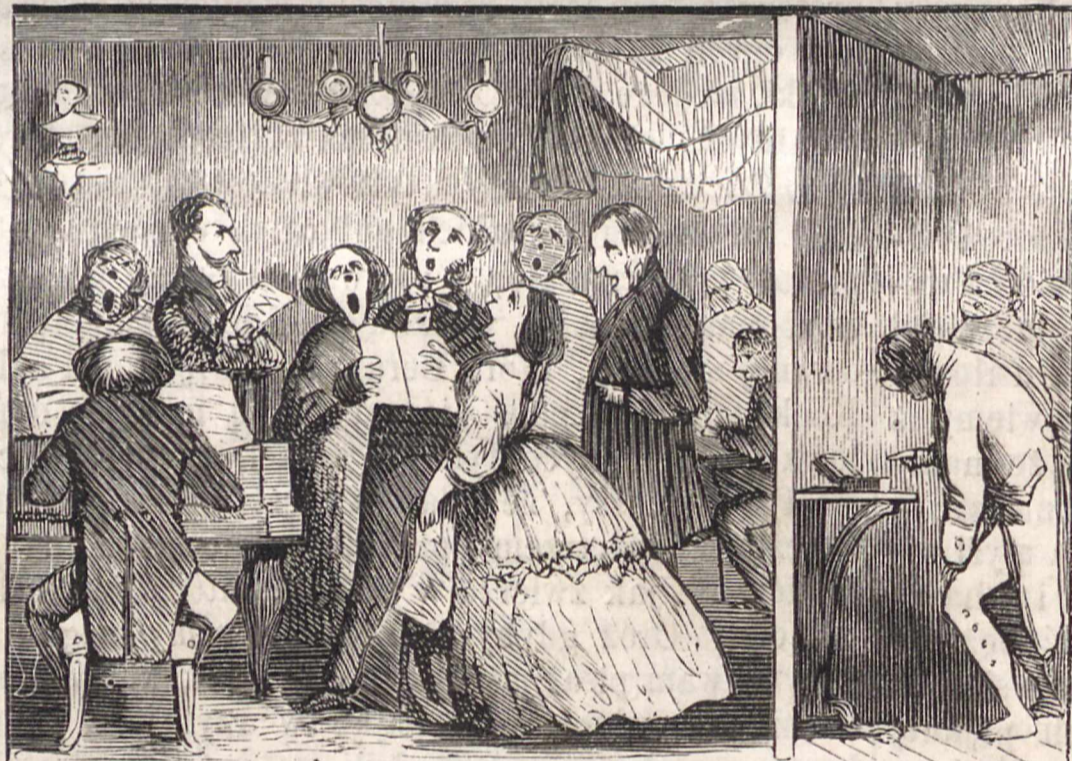
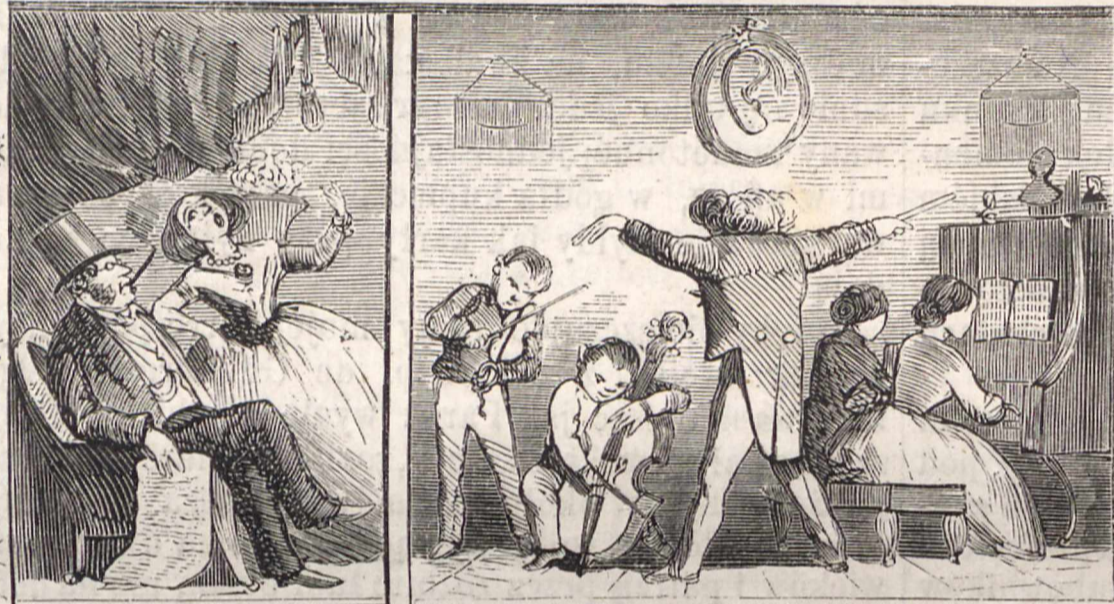
cy



cy.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 57.

Gronostaje są drogie, futra te noszą królowie, ale dla pokazania się mają i owi, którym ciężko pieniądze przychodzą.



Na faeyatce, w zachwycie,
Duma orzeł-poeta,
Szuka natchnień w błękiecie
I myśli do libreta.
Obok maestro mózg suszy;
Będziem mieli operę,
Chociaż go wrzask wron głośzy:
Re, re, re, re, re, re, re.

Krawcy w niższym piąterku,
Szyjąc poły do fraka,
Znacież, mówią, majsterku,
Chór z *Biędnego rybaka*?
Ten pikuje, ów kraje,
Ale zgodnie śpiew wiodą,
A sam majster takt daje:
La, do, la, do, la, do, do.

Drugie piętro bez sprzeczeki
Prym trzeciemu zabiera,
Tam fałszują dziateczki
Belliniego, Aubera.
Na papy imieniny
Niespodzianka wystrzela,
A więc córki i syny:
La, la, re, sol, do, re, la.

Obok cudna wietrznicza
Złożonego bankiera
Barkarolą zachwyca,
A on talent jej wspiera,
Ona taktu nie szuka,
On się ciągle przymila.
Górą miłość i sztuką!
Mi, re, mi, re, mi, si, la.

Niżej salon, tam próba
Koncertowych popisów,
Światne grono i chluba
Melomanów-dandysów.
Wirtuozów pół mendla
Idzie z fugą w zapasy,
Męczy Bacha i Haendla,
Do, re, mi, fa, sol, la, si.

Gdy się salon wyteża,
By zachwycić stolicę,
Służba chwil nie zmitręza
I ćwiczy się w muzyce.
A więc na tabakierce
Wygrywają fağasy,
Zamiast trzepać kobierce.
Sol, si, fa, do, fa, fa, si.

I w bawarji zgiełk wielki,
Grają czeskie landsmany,
Dzwonią goście w kufelki,
Nie brak drożdży i piany.
I stróż, dla swej pociechy,
Ku rozrywce Marysi,
Wciąż w muzyczne dmie miechy:
Mi, si, mi, si, mi, mi, si.

I przed domem, Bóg widzi,
Niema wolnej godzinki,



Parmeńczycy i Żydzi
Walczą na katarynki,
Nawet kupeczyk w piwnicy
Na butelkach kijkami
Umie zagrać bez świecy
Fa, sol, fa, sol, fa, la mi.

Tak od zmięrchu do wschodu,
Do zachodu od rana,
Gra i śpiewa wśród grodu
Ta syrena kochana.
Więc wtórujemy jejności!
Gdy są chęci tak szczere,
Zaspiewamy w przyszłości
Z la-la-mi mi-se-re-re.

(Dodatek.)

O wpływie muzyki i zabaw towarzyskich na zdrowie osób nerwowych, a w szczególności kobiet.

(Ustęp z niewydanej Hygieny Dra K. Gregorowicza.)

Od niepamiętnych czasów u wszystkich narodów muzyka, jako środek medyczny, w wielkim była uważaniu. W wiekach bardzo od nas dalekich, z muzyką łączyły się nawet cuda. Hebrajczycy posługiwali się tą sztuką nie tylko w celu sprawienia przyjemności, ale w celu podniesienia ducha i leczenia różnych chorób. Król Dawid cudowną grą na harfie wypędzał z Saula złego ducha. Starożytni Grecy wydoskonalili muzykę i wprowadzili ją w życie wojskowe, a pod jej wpływem duch wojska wzmagał się. Aleksander Wielki na dźwięk liry Tymoteusza wpadał w szalony zapał.

Z postępem ogólnym zastosowano muzykę do wszystkich poważnych i zabawiających celów: zabrzmiały w świątyniach pańskich dziękczynne pienia, towarzyszone muzyką figlom kuglarzy i magików, skoczków na linie i innych, słowem czy łyż wycisnąć, czy uśmiech obudzić na twarzy, zawsze i wszędzie potrzeba było i jest muzyki.

I nie dziw że muzyka obudza tyle cudownych w nas przemian, bo dla człowieka jest ona najczystsza mową serca i uczucia, jakżeby więc nie miała być zrozumiana? Zejdźmy do niższej sfery jestestw, do zwierząt, a zobaczymy jak dzielnie wpływa muzyka na dzikie nawet bestye. Za głosem fletka idą słoń i niedźwiedź; łania na odgłos rzewnej muzyki kładzie się, a nawet, jak zapewniają, da się schwycić. Ptaszki w ogólności przysłuchują się brzmieniom piszczałki; bociany mają lubić dźwięk gitary, a na głos cymbałów, mówią że pszczoły wracają do ulów. Na szczury i pajaki szczególnie mają oddziaływać rzewne tony lutni. Wiadomo także jakie wrażenie sprawia muzyka na psach.

Koń z największą łatwością obznajmia się z muzyką; podług głosu trąbki bez kierunku jeźdźca odbywa w największym porządku wszystkie obroty, a na sygnał: marsz! marsz! pędzi naprzód z największym rozruchem. Ryczenie osła przestrasza konia, a tak nieznosny jest dla słonia kwik i chrząkanie świń, że posłyszawszy je, ucieka. Tygrys na głos bębna wpada w wściekłość, a jak mówią, pianie koguta przejeżdża lwa strachem.

W organizmie ludzkim muzyka wywiera największy wpływ na układ nerwowy, działając zarówno na stałe jako też na płynne organa; może więc przyspieszać lub zwalniać bieg krwi, jak również wzruszać płynem nerwowym. Działanie to jednak jest zupełnie względne; zależy ono głównie od szczególnej budowy, od temperamentu, od wewnętrznego usposobienia, od stanu zdrowia i od odebranego wychowania. W miarę tych warunków działanie muzyki okazuje się różne.

Pod wpływem muzyki objawia się w człowieku prawdziwe lub fałszywe uczucie; w pierwszym razie rozbudzi w nim do wysokiego stopnia wrodzoną czułość; a w drugim razie uspokoi chorobliwą tkliwość. W tych wszystkich atoli wypadkach wiele także zależy od rodzaju kompozycji, od wykonania téż i od indywidualnego usposobienia muzycznego. Słusznie powiedział Bokon, że skład całej budowy człowieka, tak cudownie i misternie skomplikowany, podobny jest do doskonałego instrumentu muzycznego, podpadającego częstemu zepsuciu, że więc do medycyny należy uważać, by instrument ten nie rozstrajał się, ale wydawał zawsze brzmienia czyste i przyjemne.

Dr. Rosier porównał muzykę z Proteuszem, co w tysiącznych przeobrażeniach wyraża wszelkie uczucia duszy, od najdelikatniejszych i najmilszych, do najboleśniejszych, pobudza ją lub uspokaja, zasmuca lub rozwesela, jednem słowem usposabia do uczucia albo do myślenia. Mało jest ludzi, na którychby muzyka żadnego nie sprawiała wrażenia i mało takich, co by nie zauważyli jej działania. Działanie to musi być silne, kiedy liczne przykłady wykazały, że pod jej wpływem niekiedy ból nawet ustaje.

Przypuszczając tedy choroby duszy, należy poznać symptomata wyróżniające je od innych chorób. Są one bardzo liczne. U ludzi zużytych, miękkiego życia, przesyconych roskoszami świata, zwykle nudota nieustająca jest chorobą duszy, chorobą moralną.

W każdej chwili i na każdym miejscu im źle; teatr, zgromadzenia domowe, rozmowa przyjacielska, dzieci, kwiaty, obrazy przyrody, nowiny polityczne i t. d., wszystko to ich nudzi. Jedną tylko muzyką, ale muzyką łagodną, tkliwą, przelewa w ich duszę jakiś spokój, odradza zamarłe uczucie, odmładza imaginację, ocuca uspioną duszę i wprowadza ją w stan błogi jakiegoś nadziei, ubarwioną złudzeniem. Słowem gdy wszystko piękne i miłe straci swój powab, a człowiek jest już na granicy przepaści, co go ma rozłączyć z życiem duchowym, podnosząc jego dzielność, gdy nawet użycie środków lekarskich stanie się szkodliwym, wtedy muzyka wpływem swoim na cały układ nerwowy działa jako lekarstwo odprowadzające (*dérivatif*) chorobę.

W rozprężeniu nerwowym, jakiemu niekiedy podlegają poeci, nie lepiej nie uspokaja chaosu uczuć, natchnień, marzeń, jak muzyka. Mickiewicz takiego doświadczał spokoju, słysząc pieśń: „Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły“ lub arją Don Juana, że mógł słuchać bez przerwy kilka godzin i pod tém wrażeniem przelewał na papier niezrównane cuda swój wyobraźni.

„Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla duszy winem.“

(Wallenrod.)

Muzyka podnosi uczucie pobożności; dobrany śpiew z towarzyszeniem organu napełnia najzimniejszą duszę błogim pokojem zbliżającym go do Stwórcy. Kogo opuściła wiara, kto zwątpił o wszystkiem co go powinno unosić do Boga, niech wnijdzie do świątyni Pańskiej, kiedy lud na klęczkach jednym brzmi chórem: „Święty Boże! święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!“ a tam topniejąc łzami, pokocha Boga, modlitwę i ten lud, co tak gorąco błaga miłosierdzia Boskiego.

Niema wątpliwości, że w wielu chorobach spazmowych, zwłaszcza u niewiast, muzyka wywiera zbawienny wpływ, jakby jaki szczególny środek medyczny. U niektórych kobiet muzyka uspokaja migrenowy ból głowy, albo też rozdrażnienie nerwowe; innym sprowadza sen, którego nadaremnie wyczekiwały. Są ludzie skarżący się na brak apetytu, którym muzyka w części go powraca.

Starożytni Grecy, wydalając się na wyprawy wojenne, zalecali swym żonom w czasie ich nieobecności zabawianie się muzyką; był to skuteczny środek odpędzania złych myśli. Inne były czasy, inne też obyczaje. Jakkolwiekby, w epoce w której obecnie żyjemy, zaprzęgnięcie umysłów młodzieży płci obojczy muzyką, wielki wpływ wywiera na uspokojenie rozbudzających się żądź. Są pieśni tak rzewne, tak miłe, że ich melodia na zawsze zostaje w pamięci; pamięć takich pieśni unosi się zwykle z pod domowej strzechy, do nich przywiązują się wszystkie domowe wspomnienia, są one w każdym wieku naszego życia najmilszymi wrażeniami serca. A cóż dopiero, gdy na polu sławy zabrzmi trąba bojowa, jak wtedy rośnie serce żołnierza, z jaką zapamiętałością rzuca się w szyki nieprzyjaciół, miotając śmierć dokoła!

Ale to różnorodne działanie muzyki na układ nasz nerwowy, zależy od jej rodzaju: ton, rytm, takt i układ stanowią to właśnie, co przemawia do duszy słuchacza. Utwory muzyczne nowożytne, wielce różnią się od dawniejszych; dziś uważają najbardziej na to, aby sprawić wrażenie, aby zadziwić, zdumieć. Dawniejsze utwory przemawiały do duszy, wszyscy je czuli; dla zrozumienia dzisiejszych trzeba być muzykiem. Ostatnia naprzykład myśl Webera pozostanie nazawsze tklivem i żalostnym pożegnaniem świata, w spokoju i bez goryczy.

Muzyka też nowoczesna nie jest już uważaną jako środek medyczny. Dawniej używano jej w leczeniu chorób nerwowych i zapewniano o jej skuteczności. W 68 tomie Dziennika medycznego z roku 1786, znajduje się na stronie 123 spostrzeżenie chirurga admiralicy rossyjskiej Desbout. Dotyczy ono wyleczenia muzyką 14-letniej panienci, chorującej na hysteryę. Zauważył Desbout, że uderzenia tętnic chorój odpowiadały taktowi muzyki, a w miarę zwalniania taktu, cierpienia chorój powiększały się. W wyborniej tezie p. Duvernoy o hysteryi, przytacza on przykład, jak różne sprawiała muzyka wrażenia na jednej hysterycznej osobie. I tak gra na fortepianie powiększała symptomata konwulsyjne; gra na fletku i śpiew uspokajały w jednej chwili paroksyzm, który kończył się wybuchem śmiechu, długo jeszcze prze-

ciągającego się, mimo że nie grano już i nie śpiewano. Mesmer, w doświadczeniach swoich magnetycznych, używał harmonijki, jako silnie działającego środka na uspokojenie nerwów. J. B. Porto wpadł na dziwną myśl leczenia wszystkich chorób muzyką. Radził aby robiono instrumenta z substancyj lekarskich, np. skrzypce z korzenia szlazuowego, dla wydobywania melodyi łagodzącej; fletki z drzewa rycynowego, by w razie potrzeby mieć środek przeczyszczający i t. d.!! Odrzuciwszy jednak na stronę śmieszności tego rodzaju, lekarze zajmujący się wyłącznie chorobami umysłu doświadczyli, że muzyka zbawienny wywiera wpływ na nieszczęśliwych obłąkanych. W Paryżu, w kaplicy szpitala Salpêtrière, można usłyszeć śpiewane msze, wykonane z dokładnością przez samych obłąkanych, i jeżeli muzyka nie wyleczy obłąkania, to przynajmniej przynosi tym nieszczęśliwym znaczną ulgę.

Głos ludzki jest jednym z największych i najszlachetniejszych darów natury, bez których umysł nasz żadnych nie doznawałby wrażeń, a życie nie miało by uroku; on jest najrozumialszym tłumaczem wszystkiego co się dzieje wewnątrz nas, — najcichszych i najgwałtowniejszych uczuć, jest mową duszy i rozumu zarazem.

Wszelkie wrażenia, wszelkie namiętności, wyraża głos ludzki najrozumialiej. Inny jest głos rozkazu, inny czułości; tu różnistość stanowi — ton. Osobom nerwowym tony minorowe najmilsze sprawiają wrażenia, szczególnież też śpiew tklivy oddziaływa na hypokondryków i kobiety hysteryczne. U osób dotkniętych melancholią, nastąpią w skutku wielkich zmartwień, muzyka smętna zrazu, a później wesoła niezmiernie wpływa na wyprowadzenie tych nieszczęśliwych z letargu. Gdy chory podupadnie na duchu, zobojętnieje i w czarnych pograża się myślach, nie skutecznie nie wyprowadza go z tego stanu, jak muzyka huczna i ożywna.

Rozmowa towarzyska należy do prawdziwych przyjemności życia. W znaczeniu higienicznem mówienie jest gimnastyką głosu, udoskonalającą się rozmową, głośnym czytaniem, deklamacją i śpiewem. Starożytni lekarze jak: Oribasius, Cels, Coelius Aurelianus, utrzymywali, że gimnastyką głosu, mądrze kierowaną, zaradza się bólowi głowy, katarom, słabości żołądka i t. d. Jeżeli tak jest w istocie, to nie należy powstawać na wielomówność kobiet; zresztą towarzysztwo dobrze wychowanych i światłych niewiast jest najprzyjemniejszą dla mężczyzn rozrywką. Zabawy publiczne i domowe wielki wywierają wpływ na stan ogólnego zdrowia; do pierwszych zaliczyć należy teatru. Na scenie przedstawiane bywają wszystkie charaktery i namiętności ludzkie pod najróżnorodniejszymi postaciami i w najwyszukańszych formach; z tych przeto względów zwrócić należy uwagę, dla osób słabych, delikatnych i tklivy, u których że uczuciowość podniesioną często została czytaniem namiętnych romansów, lub źle zrozumianą religijnością, widowiska teatralne sprowadzić mogą więcej szkody, jak korzyści. Dla osób egzaltowanych małe kółko dobranego towarzystwa, w którym toczy się rozmowa pod strażą surowej logiki, przerywana, jak to najczęściej się zdarza, muzyką, uważać należy za najzdrowszą i najzbawienniejszą zabawę.

HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom. Jez.

I.

Turyści, podróżujący strasznie daleko po za granicami ojczystego kraju, dam wam radę. Słuchajcie. Podrózujcie za granicami dla nauki, tylko dla nauki; ale jeżeli wam o wrażenia chodzi, to lepiej poszukajcie takowych we własnym kraju. Znajdą się one w wielkiej obfitości, a w tém większej, im mniej będziecie z zagranicą oznajomieni, a to dlatego, że każdy wypadek, chociażby jak drobny i mało znaczący, jeżeli tylko nie będziecie mogli porównać go z wypadkami obcego świata, niezwykajniemi dlatego tylko że obcemi, nabierze dla was jakiegoś uroku niepowszedniości, i bardziej, mocniej uwydatni się w wyobraźni waszej. W takim razie, zaręczam was, że gdzie

jeno nogą stąpicie, wszędzie nos w nos z jakimś wrażeniem się spotkacie, wszędzie na jakiś wypadek nadbiegniecie, z którego, przy pomocy rozmaitych okoliczności, może wypaść wypadek, z wypadczka wypadek, a z tego ostatniego awantura, niekiedy nawet aż romansowa, jeżeli *nota bene* wplaczą się do niej dwie dostatecznie do romansowości usposobione płcie.

Takim wstępem opatruję niniejszą powieść, powiastkę, czy obrazek. Powieść, powiastkę, czy obrazek, powiadam, bo dalibóg że nie wiem jak ma być nazwanym to, co na tych ćwiartkach, które oto leżą czyste jeszcze i białe przedemną, ma być napisanym. Na tytule, na chybił trafił, wypisałem „Obrazek“, a może wyjdzie z pod pióra powieść. Alboż ja wiem. Przyznać się muszę pod wielkim przed czytelnikami sekretem, że mi się z tytułami nie szczęści. I tak: na jednym z moich utworów podpisałem „szkic“, wyszła powieść; na innym „powieść“, wyszła historia. Mniejsza jednakże o to. Niech tam czytelnicy sami z łaski swojej sprostują, jeżeli „obrazek“ okaże się niewłaściwym: ja wracam do ustępu, z którego mam wysnuć wypadek, który, dla uniknięcia kakofonicznego dyssonansu, od zdrobniałego *czecze* pochodzącego, nazwę zgrubiałe *wypadkiem*.

Tak tedy zdarzył się wypadek, ale bynajmniej nie taki, jak, wedle dwuwierszowej rymowanej powiastki, staroście przesławnego miasta Grodna, który złamał palec przy pewnej operacji. Wypadek, za pośrednictwem którego myślę czytelnika w opowiadanie moje wprowadzić, zależał na tém, że orczykowy koń wierzgnął. To zdaje się mniejszym jest od złamania palca. A jednakże palec starosta obwinał, wziął w kleszczoty, wyleczył i koniec końcem wyzdrowiał, a z hrabianką z wierzgnięciem orczykowego konia inaczej wypadło, bo z kopyt końskich padł (choć nie bezpośrednio) pocisk, który ją zranił w serce, a serca obwijać ani brać w kleszczoty nie można. Biedna hrabianka!..

No, ależ mnie podobno nie wolno, tak z góry, do litości nad powieściową bohaterką pobudzać czytelnika. Trzeba go do niej przygotować; trzeba ją w nim wyrobić powoli a systematycznie; trzeba jednym słowem zbudować powieść wedle przepisów architektury powieściarskiej, na której, wyznać muszę, zawsze pod sekretem, nieszczególnie się znam. Znam się jednakże, czy nie znam, to mniejsza, a budować trzeba.

Owóż do budynku potrzebnym jest najprzód grunt, następnie fundamenta, potem wiązanie, a na ostatku wytynkowanie.

Gruntem niniejszej powieści są trzy punkta, wzięte w trzech obwodach wschodniej Galicyi.

Pierwszym punktem jest kawałek traktu pocztowego pomiędzy Nadworną a Delatynem; drugim, wieś Hyłki; trzecim, wieś Hniłki.

Rzeczony kawałek traktu pocztowego, jak wiadomym być powinno każdemu cokolwiek z geografją krajową oznajomionemu, leży w obwodzie stanisławowskim. Co się zaś tyczy wsi Hyłki i Hniłki, to te, bez wiadomości położenia których uczący się geografii polskiej obejść się może, leżą pierwsza w stryjskim, druga w kołomyjskim obwodzie.

Nastąpiłoby teraz powinno bliższe opisanie każdego z trzech punktów powieściowego gruntu. Cóż jednakże na to powiecie, łaskawi i mili czytelnicy: na opisanie to w tej chwili zdobyć się nie mogę!.. Nie mogę przełamać w sobie jakiegóż dziwnego skłonności do nieporządku, skłonności, która mi każe nie wedle przez większość przyjętych i uznanych przepisów i prawideł, lecz według własnego postępować widzimisię. Skutkiem tej skłonności, opis Hyłek i Hniłek odkładam na później, a obecnie zajmę się kawałkiem traktu pocztowego i wypadkiem jaki na nim miał miejsce.

Ow kawałek mieści się całkowicie na tej pochyłości góry, na którą trzeba ciągnąć natychmiast po wyjechaniu z Nadworny ku Delatynowi. Niezbyt to spadzista, ale długa góra. Gdy na nią dyliżans wjeżdża, to pocztylion zsiada z kozła, konduktor wysiada, i pasażerowie dobrzeby zrobili gdyby wysiadali, dlatego że obok uniknięcia nudów powolnego noga za nogą jechania, osiągnęliby pewną korzyść, która w podróży nie jest do pogardzenia: mogliby sobie iść i zatrzymywać się, a zatrzymując oglądać, a oglądając nasycić się widokami, jakie na prawo, w kierunku ku Zieloniej, ku źródłom Strymby i Bystrzycy, ku szczytowi Czerniej-Hory się otwierają. W dali majaczej, sinieją i dymią się Karpaty, a bliżej roztacza się dolina, pogarbiona w pagórki, pokrajana w wąwozy,

tu zielona, owdzie buro-czerwona, gdzieindziej siwa, a w niektórych punktach bielejąca chałupami wiosek. Dolinę tę Karpaty podesłały sobie pod stopy, aby snadź obok niej lepij, groźniej i majestatyczniej się wydać. Olbrzymieją one w tajemniczej dali, obwinione w zieloną lasów oponę, nad którą się wiecznie mgli niby z najcieńszego muślinu zasłona. Postępując wyżej wymienionym kawałkiem traktu i od czasu do czasu się zatrzymując dla rozglądnięcia po okolicy, za każdym zatrzymaniem można mieć niespodziankę. Pagórki, wąwozy, wioski, góry i lasy zmieniają niby front i coroz w nowym szyku przedstawiają się oczom patrzącego. Właściwość ta wspólną jest wszystkim w ogóle górskim i podgórnym widokom; chociaż jednakże wspólną, każdy z nich ma coś swego, coś stanowiącego odmiennosć jego fizyognomii, coś takiego, co piórem spisać i słowami wyrazić żadną miarą się nie da. Dlatego dobrze jest nie pomijać tych widoków.

Tego „dobrze jest“ trzymał się snadź młody człowiek, który szedł pod górę, ścieżką obok bitej drogi udeptaną. Szedł, i w nieregularnych odstępach, ale dość często, zatrzymywał się. Zatrzymywał się i rozglądał, raz krócej, drugi raz dłużej. W jego wzroku i ruchach nie było widać systematyczności amatorskiego postrzegania, rozmiłowanego w pięknościach przyrody. Przypatrywał się on piękności, ale tak, jakby ją na jakiś obrócić chciał użytek; bo marszczył brwi, coś szeptał pod nosem i niekiedy ręką ukazywał, jakby mierzył przestrzeń wzdłuż i wszerz, jakby szukał dróg czy fundamentów, któremi przejść, na których coś zbudowaćby zamyślał.

Młody ów człowiek był rzeczywiście młodym, bo nie mógł liczyć więcej nad dwadzieścia cztery lat wieku, i był w całej potędze znaczenia tego wyrazu przystojny, umiarkowanie słuszny, mocno i bardzo kształtnie zbudowany, czarno-włosy, czarno-oki i trochę, ale bardzo mało, śniadawej cery, tak jednakże mało, że nie można go było bynajmniej o cygańskość pochodzenia podejrzewać. Cera ta była niby odbiciem włosów i oczu, a także wąsów i brody, które młode i miękkie, puszyły mu się około oblicza. A na obliczu jego malowało się zdrowie ciała, a nawet ponieważ i zdrowie duszy, jeżeli jako aksjomat niepotrzebujący dowodzenia przyjmujemy, że w zdrowym ciele zdrowa mieszka dusza.

Co jednakże w obliczu i postaci naszego młodego człowieka najwyraźniej się przebijało, to to, że w życiu swoim nie zaznał on jeszcze trosk ni cierpień. Zaznał marzenia, ale te zdrowia nie nadwężają.

Marzył, a źródłem jego marzeń były książki.

Teraz oto, kiedy szedł pod nadworniańską górę, trzymał w ręku książkę. Nie czytał jej, tylko kiedy niekiedy, zamachem ręki idącego pod górę człowieka, rzucał ją sobie przed oczy i zachwytywał wzrokiem po parę wierszy, czasem tylko po parę wyrazów, i dopełniał je własną myślą, posyłając wzrok ku Karpatom, ku Czerniej-Horze.

Co to była za książka? *Die Räuber* Schillera.

Co to był za młody człowiek? Parfeni Suchobrodzki, kleryk, mający za dwa czy trzy lata wyświęcić się na księdza.

Za Parfenim, niżej, o jakie dwieście kroków dalej, włókł się pod górę wózek parą małemi ciągniony chabetami. Wózek był opleciony, ale stary i dziurawy, pokryty całkowicie również starą i dziurawą rogózką, rozpiętą na drewnianych obręczach, przyrządowanych do półdrabków powrózkami z łyka. Konie zaczęły się i przystawały, lecz bynajmniej nie dla rozglądania się po górach i zachwywania widokami przyrody. Było im ciężko, więc stawały bledne, dla odsapnięcia i nabrania w płuca powietrza. A nie powinno było być im ciężko, bo wózek wcale nie był przeładowany. Nikt bowiem w nim nie siedział, a pakunek cały ograniczał się na trosze siana natrzesionego na spodzie, na szczupłym węzełku z brudną bielizną, na jeszcze szczuplejszym woreczku z kilką książkami i parą starych butów, na cykowej kołdrze, ułożonej w głębi siedzenia zamiast dywana i w ostatku na ogromnej poduszce, w siedzeniu do opierania się o nią plecami położonej. Poduszka, aczkolwiek wielką była, ale piérzem wypchana, niewiele zaciężyć mogła, a węzełek, woreczek i kołdrę możnaby żołnierzowi do tornistra wpakować i lżejby mu z niemi było, jak ze zwykłym żołnierskim pakunkiem. Cóż tym koniom ciężko? Lata panie, lata, które one na spracowanych swoich członkach dźwigały. Je-

dnemu było piętnaście, drugiemu ośnaście lat; niedziw przeto, że im było ciężko.

— Wio!.. wio!... odzywał się od czasu do czasu człowiek, krok za krokiem obok nich z batogiem w ręku postępujący i potrzaskujący nad niemi niekiedy.

Zauważyć godzi się, że człowiek ów ze szczególną łagodnością obchodził się ze starymi konikami. Nigdy ich biczem nie zaciął, ale—ot tak — straszył tylko, świstał i traskał; a jeżeli spuścił kiedy batog na grzbiet którego z koni, to bardziej dla odpedzenia im much, niż dla uderzenia. Jeżeli zaś koniki przystały, to i on stanął, poczekał i po poczekaniu:

— Wio!.. wio!... wołał i traskał.

Nie spieszył się on pod górę, z tego może głównie powodu, że idąc zabawiał się powolną gawędką, nie z końmi jednakże, chociażby i w tém nie było nic dziwnego, ale z idącą obok kobietą.

Kobieta owa była niemłoda i powierzchownością swoją od pierwszego oka rzutu dawała poznać, równie jak jej towarzysz, że należała do tej klasy półszlacheckiej, pół-chłopskiej, co to z pracy rąk własnych utrzymywać się musi. Była ona ubrana w sukni perkalikowej, albo raczej cykowej w duże pasy i na pasach w kwiaty, której kolory należały oddawna już do rzeczy zagadkowych. Na ramionach miała chustkę zupełnie wypłowiałą. Głowę zawiązaną miała chustką trochę nowszą. Na nogach kłapały jej ogromne trzewiki, ale bez pończoch, a kolor skóry nóg wyraźnie okazywał, że mogła ona obejść się bez trzewików.

Towarzysz jej z batogiem, po mężku, ale nie lepij był od niej ubranym. Z powodu gorąca, było to bowiem 7 sierpnia roku 18...., zrzucił on zwierzchnią odzież, która zapewne musiała być kapotą, i pozostał w dużych pasowych butach z odwiniętymi cholewami, w nankinowych ciemnych szarawarach, schowanych w buty, wkoszuli cieńszej nieco od zgrzebniej i w słomianym kapeluszu. Wiekiem także niewiele od niej się różnił; jeżeli był starszym, to najwięcej o dwa lub trzy lata, a ona wyglądała na taką, której już cztery krzyżyki z okładem stuknęło.

Szli oni jedno obok drugiego. Kobieta posapywała z gorąca, i kiedy koniki zatrzymywały się, stawała i z wyrazem rzewnego zachwycenia spoglądała na kleryka, któremu czarna rewerenda, przykrojona do stanu nakształt pofałdowanego o długich połach surduta i ujeta paskiem, elegancko ochwytywała zgrabną, mężką a wysmukłą kibić, i któremu wstążka od czarnego, niskiego, o szerokich brzegach kapelusza dziwnie jakoś fantastycznie bujała w powietrzu.

Szli oni jedno obok drugiego i rozmawiali urywanymi frazesami, rzucanymi ot tak, bez ciągu i związku, na to snadź tylko, aby ulżyć sercu.

— A patrzno Jakubie, o.... mówiła kobieta, jako wono, moje serce, idzie... niby płynie...

— Ehe!.. odparł Jakub. Wio!.. wiśta!..

I świsnął batogiem nad grzbietami koni, ale patrzył na kleryka i uśmiech zadowolenia błędził po jego ustach.

Po chwili odezwała się kobieta:

— *Woni* bo go taki od razu proboszczem zrobia.... Inaczéj być nie może....

— Ta- że tak,.. odrzekł Jakub.

— *Wun*... rzekła kobieta po jakimś czasie, odsapnąwszy i obtarłszy pot na trwarzy rękawem, moje złote oczko, ciągle z książką, ta z książką... Żeby ino jemu to nie zaszkodziło....

— Ihi! na siebie!.. zawołał Jakub. Cóż to książka cep albo sierp, czy co?... To letka rzecz....

— Ale letka!.. podniesionym tonem odparła kobieta. Słyszała ja od dworskich, że nad książką marnią ludzie...

— Marnieją... Wio!.. Hettia!... rzekł Jakub i z pewnym wyrazem trwogi spojrzął na kleryka.

— Z proboszcza dziekan, kanonik, officyał, a tam w końcu i biskup... dalibógże, biskup!.. mrucała kobieta niby to do siebie, ale tak głośno, że i Jakub słyszał. Poczł się więc obowiązany umitygować nieco bujność nadziei swojej interlokutorki.

— Biskup... rzekł, hm!.. do biskupa daleko...

— Co to... daleko!.. daleko!.. A ileż to ludzkich dzieci aż tam zaszło!.. Czy to naszymu co brak, albo co?..

Skonwinkowany Jakub nic nie odpowiedział, tylko batogiem kręcił ponad końmi.

A ten o którym się ta rozmowa pomiędzy starymi toczyła, szedł ścieżką pod górę posuwistym kro-

kiem i marzył. Sukmanę, spiętą drobnymi na pierśsiach guziczkami, rozpiął, kapelusz przechylił na bakier. Poły sukmany odwijaly się i bujały w powietrzu, a z pod kapelusza wypływały obfite włosy, dość starannie uczesane i upomadowane.

O czym on marzył? o teologii dogmatycznej, czy o prawach kanonicznych?...

Nie, — na szczytach Karpat, w wąwozach, na skałach, pod liścianami lasów sklepieniami bujała jego młoda wyobraźnia i nosiła się z pewną postacią, którą to tu, to tam, rozmaicie ustawiała lub sadzała. Postać to była męzka, ubrana z huculską po hiszpańsku. Za pasem miała pistolety i toporek, a na biodrze krótki ale szeroki, o krzyżowej rękojeści miecz. Raz stawała ona samotna i zadumana; drugi raz, po za nią, w głębi obrazu, widzieć się dawało dogorywające ognisko, a przy ognisku rozdrznięci zbrojni ludzie. To znów ci ludzie otaczali tę postać i ona im rozkazy dawała. Wówczas to kleryk wyciągał rękę i marszczył groźnie brwi, bo tą postacią fantastyczną był on sam, on, a nie kto inny. Gdyby obrazy jakie tworzyła wyobraźnia jego, przenieść można było na płótno, malarstwo nasze z bogaciłoby się kilkoma pejzażami *à la Salvator Rosa*; ale za to, gdyby obrazy owe przenieść w życie, mielibyśmy w Karpatach powtórzone sceny z rozbójników Schillera, i mielibyśmy *Karla* w osobie Parfeniego Suchobrodzkiego. Dodać należy, że przejeźdnym nie byłoby z tym nader wygodnie, bo oto jakim był ostatni obraz Parfeniego.

Po górze wiła się droga, a po drodze toczył się powóz. Z jednej i z drugiej strony drogi ciągnął się las, zupełnie tak jak w tym miejscu, w którym w tej właśnie chwili szedł Parfeni, wiedzieć bowiem należy, że w połowie nadworniańskiej góry zaczyna się las. Powóz był bardzo piękny, złożony na kantach, wyherbowany i zaprzężony piątką dzielnych koni (polska bowiem wyobraźnia Parfeniego, piękności zaprzęgu nie umiała sobie przedstawić inaczej, jak pod postacią piątki, i do tego w krakowskich chomątach). W powozie siedziało dwie osoby, mężczyzna i dama. Mężczyzna był niemłody, siwy, o najeżonych włosach, o groźnym obliczu, trzymający w ręku pistolet z odwiedzioną półkurczem i mający obok pałasz i dubeltówkę. Na koźle strzelec, czy lokaj, także uzbrojony był w pistolety, pałasz i dubeltówkę, a i za powozem był ktoś, co niemniej mógł strzelać i rąbać. Powóz przeto wyglądał jak jakiś rodzaj ruchomej cytadeli, zaopatrzonej w dostateczny garnizon, w broń i amunicję, bo nawet i furman, wiozący z konia, był przy pistoletach. Al dodać jeszcze zapomniałem, że wedle wyobraźni Parfeniego, siwy ów i groźny mężczyzna miał pod ubraniem pancierz, którego kula nie miała.

Siwy ów i groźny jegomość (proszę nie zapominać że to zawsze wedle wyobraźni Parfeniego) był tyranem dla damy młodej i pięknej, bardzo pięknej. Ta nieszczęsna tuliła się do aksamitnych poduszek, którymi wytapicerowanym był powóz wewnątrz. Podobną ona była do trwożliwej gołębiczy. Modliła się biędaczka o jaknajrychlejszą śmierć dla siebie, bo w śmierci tylko widziała uwolnienie od tyra.

— W śmierci, ale nie twojej, o! z pięknych najpiękniejsza!... zawołał Parfeni w głębi swojej wyobraźni i krzyknął groźnie:

— Stój!...

A trzeba wiedzieć że w tym obrazie miejsce bohaterą naszego było pod rozłożystym bukiem, tuż obok drogi rosnącym.

Krzyknął stój! i strzelił. Mierzył w łeb dyszlowego konia, z którego wiózł woźnica, i trafił. W szlachetności bowiem swojej zbrojeckiej nigdy z zasadzki nie strzelał do ludzi, ale tylko zmuszał ich do równego z sobą boju.

Bój się wszczął. Siwy jegomość w panczerze strzela, lokaj i woźnica (ten ostatni po wydobyciu się z pod konia, którego upadek zatrzymał powóz w miejscu), rzucili się na Parfeniego. Parfeni dobył krótki miecz, i..

I obraz się zamącił i raptem znikł. W tej bowiem chwili, przed oczami nie wyobraźni, ale przed prawdziwymi, cielesnymi młodego kleryka oczami, rozwinęły się następstwa wierzgnięcia orczykowego konia, o którym wspomnianem było wyżej.

II.

Rzadko wprawdzie, bardzo rzadko, a jednakże zdarzają się niekiedy w życiu ludzkim takie chwile, w których zaledwie coś pomyślałeś, już się stało, zaledwie o czymś zamarzyłeś, już się urzeczywistni-

ło. Chłopi nasi chwile takie nazywają *uroczemi*. Mają one powracać i powtarzać się, ale trudno je złapać, bo są krótkie, jak mgnienie żrenicy. Opowiadano mi, jak pewna kobieta przyszła do posiadania takiej chwili. Robiła ona coś koło chałupy, a cielej dokuczało. Robota jej była pilną, więc odpędzała ciele; ale to, snadź pieszczone i spoufalone, ciągle do niej lazło i szturchało ją niby krowę, niby upominając się u niej o mleko. Przyprawione do ostatniego zniecierpliwienia kobięcisko, zakłęło cieleciu:

— Bodajes zdechło!...

I w tej chwili, jakby piorunem rażone, ciele padło i zdechło.

Kobieta zaś zaznaczyła sobie cień i zapamiętała dzień tygodnia i dzień miesiąca. I od tego czasu corok w owym dniu pilnowała cienia, który, gdy przyszedł do zaznaczonego punktu, wymawiała życzenia. Powiadają że nie było przykładu, aby które z jej życzeń, wypowiedzianych w owej uroczej chwili, nie ziściło się, i to natychmiast.

Taką snadź chwilą dla naszego Parfeniego była ta, w której on pomyślał o powozie. Bo pomyślał, i stało się. „Po górze wiła się droga, a po drodze toczył się powóz.“ Powóz był zupełnie takim, jakim go wyobraźnia młodego kleryka mieć chciała: „bardzo piękny, złożony na kantach i wyherbowany.“ Tylko nie był piątką, ale czwórką dzielnych koni w poręcz zaprzężony. Życzenie piątki przyszło snadź później, po przeminięciu uroczej chwili, równie jak i inne życzenia, odnoszące się tak do ilości, jakoteż do jakości podróży, a także i do ustrojenia, do owego pancierza, owych pistoletów, dubeltówek i pałaszów. Jednakże to co było najpóźniejszym, okrzyk „stój!“ ten było słyhać, z tą wszakże różnicą, że nie był groźnie, rozkazująco i krótko wygłoszony, ale brzmiał przeciągle, płacząco, boleśnie i powtarzał się często, rozmaitemi ukraszony dodatkami, pomiędzy którymi najczęściej imię Boga i imię Andrzeja słyhać się dawały.

— Stój! na Boga!...

— Andrzeju!.. stój!...

— O! na miłość Boga!..

— Andrzeju!

— Andrzeju! zlituj się!

— Boże! ratuj!

— Stój!..

Okrzyki te padały z dwóch piersi, z jednej grubsze, z drugiej cieńsze.

A powóz toczył się szybko z góry na dół. Pęd jego coraz, zdawało się, zwiększał. Jeden koń wierzgał, a trzy inne pomykały. Woźnica na koźle wydobywał całych sił i natężył lejce, jak struny na skrzypcach, ale usiłowania jego były daremne. Konie snadź wzięły na kiel i unosiły.

Zdaleka za powozem biegł lokaj.

Z powozu zaś, przez okno, otwarte z tej strony, z której szedł nasz marzyciel, wyglądało dwie twarze, jedna męzka, druga kobięca. Ani jedna jednakże ani druga nie były podobnymi do tych ideałów, które on sobie stworzył.

Męzka twarz nie miała wąsów, chociaż nie była młoda. Miała za to faworyty gładko do policzków przyczesane i kończące się w tym miejscu, w którym zaczyna się wiązanie szczęk. Reszta oblicza była starannie wygolona, a na obliczu tym wrytym był pewien pozór niepospolitości. Było bowiem niepospolicie wielkie, zaokrąglone i ozdobione obwisłymi wargami. Gdyby nie te wargi, nie unoszący się nad nimi wielki i nieco do góry zadarty nos i nie umieszczone w przywoitych po obydwóch stronach nosa odstępkach piwne, trochę za małe w stosunku do oblicza oczy, to oblicza tego nie możnaby było uznać za ludzkie. Raz w Londynie ujrzałem znieca z tyłu tuczonego wołu, i nie poznałem go. Od razu nie mogłem zmiarkować, do jakiego zwierzęcia ta część korpusu należy. Przedstawiły mi się dwie wypukłości, i nic więcej. Aż z pomiędzy wypukłości wysunął się ogon, którym zwierzę leniwie kiwnęło. Po ogonie tym dopiero poznałem, jaką mam przed sobą istotę. To samo mogłoby się komuś przytrafić z obliczem mężczyzny wyglądającego z powozu, gdyby mu jakim plastrem można było zamaskować wargi, nos i oczy; wargi szczególnie, one bowiem charakteryzowały oblicze, one nadawały mu powagę i dumę. W oczach, które u zwykłych ludzi bywają zwierciadłem duszy, u niego był wyraz zaspania, a wyraz duszy, na war-

gach. Czoło zaś i broda wyglądały jak załamania policzków.

Harmonia kształtów jest prawem, od którego natura rzadko kiedy odstępkuje. Nie odstępowała też ona od niej w mężczyźnie wyglądającym z powozu. Z obliczem jego harmoniowała tusza, do twarzy stosował się brzuch, do brzucha pierś, do piersi ramiona, do ramion ręce, do rąk nogi, etc., że już o innych nie widnych z przodu częściach nie wspominać, a do wszystkich członków stosował się wzrost. Był to jegomość rośli, brzuchaty, piersisty, pleczysty, pyskawy i ciężki.

Ponieważ na tytule powieści wymieniłem „hrabiankę“, ponieważ wspomniawszy w pierwszym rozdziale mimochodem o wierzgnięciu orczykowego konia, wspomniałem i o hrabiance; ponieważ przedstawiłem powóz uherbowany, unoszony przez cztery konie, z których jeden był rozwiertany; ponieważ nakoniec w tym powozie była kobięca, przeto czytelnik domyśli się: że ta kobięca nie jest żadną inną, jeno tą samą, od której powieść dostała tytuł; przeto także nie mam potrzeby imienia, nazwiska i godności rośłego i ciężkiego mężczyzny w tajemnicy chować. Prędzej, później dowiędz się o tym czytelnik, a powiadają że zawsze lepiej prędzej jak później.

Owóz mężczyzna wyglądający z powozu miał na imię Henryk, na nazwisko Wierzgalski, a na godność hrabia.

Hrabia i hrabianka? Pomiedzy niemi tedy zachodzić musiał jakiś stosunek, dlatego już samego że w jednym jechali powozie. Okoliczność ta powozowa stosunek czyniła prawdopodobnym, ale jeszcze nie koniecznym. Stosunek? powiędz ktoś. Na co innego jak ten, że oni jedno obok drugiego siedzieli. A ja powiędz: nietylko siedzieli, ale — jak w momencie wyglądanania przez okno, pozycja ich wzajemna daleko była bliższą. Hrabianka wychyliła się półciałem, oparta o dolne ramy okna. Hrabia wychylił się także. A że, wedle prawideł fizyki, dwa ciała nie mogą jednego i tego samego zajmować miejsca, przeto hrabia znalazł się na hrabiance, i dolna rama powozowego okna, stanowiąca, jak wiadomo, integralną część drzwiczek, dźwigać na sobie musiała cały ciężar ciała hrabianki, przywalonej z wierzchu całym ciężarem ciała hrabiego.

Położenie hrabianki było fatalne. Ciśniona, cisnęta, gnieciona, gniotła, i zaledwie oddychać była w stanie. Z tego powodu jej wołanie wydobywało się wysilone, bolesne, częściej do Boga, jak do Andrzeja.

— Oj, dla Boga!... Oj, Boże!...

— Andrzeju! stój!.. grzmiał głos hrabiego.

— *Oh! mon Dieu!... Papa!...*

Chwytny to *papa* w przelocie i naznaczamy. Do kogo się ono mogło ścierać?... *Papa* znaczy po naszymu tatk. Czy więc to „tatk“ powiedzianem było do Boga (*Dieu*), który pozwolił nam ojcem siebie nazywać, czyli też do kogo innego? Może do Andrzeja? Ale, nie. Andrzej był ten, co siedział na koźle i hamował rozbrykane konie; a chociaż to mu bynajmniej nie przeszkadzało być ojcem hrabianki, bo u nas nie niema nadzwyczajnego widzieć hrabiego na koźle, nie z powinności, pospieszam dodać — ale przez amatorstwo powożącego, kondycja jednakże Andrzeja nie była bynajmniej hrabiowską. Znać to było po liberyi, która na guzikach i żółtym wyłożonym kołnierzu nosiła herby ozdobione suto ugałkowaną koroną. Hrabowie w herby ubierają swoich lokajów i furmanów, a siebie, swoje własne osoby, chyba na guziczkach od półkoszulków i mankietków, na koszulach i skarpetkach. Ale i to już rzadko. Andrzej przeto nie mógł być papą przyciśnioną do drzwiczek hrabianki.

— *Oh! mon Dieu!... jęczała biędna — Papa! que tu me fais mal!...*

A! więc papą był hrabia.

A w chwili kiedy ostatni wyraz padł z ust hrabianki, za wyrazem padł hrabia, za hrabią hrabianka. Drzwiczki trzymały ciężar póki mogły; lecz gdy ten ostatni przeważał ich siłę oporu, pękły, i przez nie, niby z procy, niby siłą pary albo siłą podpalonej miny ciśnieni, wypadli — hrabia i hrabianka. Hrabia piérwój, hrabianka później. Pomiedzy tém jednakże „piérwój“ i „później“ tak mała zachodziła różnica, że nie wspominałbym o niej, gdyby mi nie chodziło o to, aby wykazać różnicę ciężaru, jaka pomiedzy hrabią i hrabianką zachodziła. Wiadomem jest bo-

wiem, że ciało cięższe pada szybciej od lekkiego. Hrabia przeto był cięższym.

Upadek tego ostatniego był rodzajem poślizgnięcia się po hrabiance, poczem nastąpiło jeszcze poślizgnięcie się po szosie, które odbyło się całym przodem postaci, to jest obliczem, piersiami, brzuchem i nogami. Hrabianka i hrabia rozciągnęli się na drodze, i to w ten sposób, że jedno było przedłużeniem drugiego; tam gdzie kończyła się głowa pierwszemu, zaczynały się nogi drugiego. Oboje leżeli twarzami do ziemi.

W jakim stanie leżała hrabianka, po wytrzymaniu papiego przeslizgnięcia się po całej swojej postaci, tego opisywać, choćbym chciał, nie mogę. Niech sobie czytelnik wyobrazi. Z mojej strony, dla wsparcia wyobraźni jego, obowiązany się czuję podpowiedzieć mu, że w epoce tego smutnego zdarzenia krynoliny były już w modzie.

Opisany powyżej wypadek odbył się daleko prędzej jak opisanie. Nie byłem ja w stanie tak szybko piórem machać, jak szybko konie biegły, powóz się toczył, drzwiczki pękły i dwoje naszych podróżnych wypadło.

Wypadli i leżeli, a nad nimi stał Parfeni. Hrabia zatrzymał się u samych stóp jego. Wyidealizowany tyran sam rzucił się do nóg bohatera. Ofiara owa „z pięknych najpiękniejsza,” znajdowała się o kilka stóp dalej, tylko że o piękności jej, z tego na co patrzył, bohater nasz nie mógł dostatecznie sądzić.

Parfeni, gdy tylko ujrzał powóz i rozbiegane konie, natychmiast zapomniał o Schillerze i rozbójnikach, o sobie i Karpatach. W myśli jego powstał ten rodzaj próżni, na tle której rysuje się wielki a zerowy wykrzyknik: *O!* Usta jego rozdziwiły się, oczy szeroko otworzyły. Przed hrabią machinalnie usunął się

o krok, bo ten zagroził mu zwaleniem z nóg. Ale kiedy wszystko ułożyło się w wyżej opisanym porządku, a powóz popędził dalej, w Parfenim obudziła się chęć niesienia pomocy.

— Nieś pomoc?... ale komu?... powstało w jego myśli zapytanie, panu czy pani?...

— Panu.... odpowiadało sumienie.

Panu, bo ten, *primo*, był bliżej, *secundo*, jako cięższy, okazywał się mocniej nieszczęściem dotknięty, i *tertio*, począł już głucho pojękiwać.

Lecz zaledwie młody kleryk zdecydował się pójść za głosem sumienia, nad panem pojawił się lokaj, przysiadł się obok niego i począł pod niego ręce podkładać. Wahanie się przeto Parfeniego rozstrzygnęło się na korzyść pani. Poskoczył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17, wprost kościoła ks. Karmelitów, otrzymała następujące dzieła religijne:

Breviarium trium Ordinum S. P. Francisci Mechliniae, 8ka. Cena rs. 6 kop. 30.— Toż samo oprawny w szagryn i złocone brzegi. Cena rs. 10.— Breviarium juxta ritum sacri ordinis praedicatorum 2 tomy, 12ka Mechliniae. Cena rs. 5 kop. 40.— Officia propria ad usum sacri ordinis praedicatorum, 12ka Mechliniae 1859. Cena kop. 60.— Diurnum juxta ritum sacri ordinis praedicatorum, 18ka Mechliniae. Cena rs. 1 kop. 20. Horae Diurnae Breviarii Romani, 18ka Mechliniae 1860. Cena rs. 1 kop. 5.— Horae diurnae Breviarii Romani Seraphici, Mechliniae. Cena rs. 1 kop. 35.— Missale Romanum Seraphicum pro tribus Ordinibus S. P. N. Francisci, folio, Venetii. Cena rs. 9.— Toż samo oprawny w szagryn i złocone brzegi. Cena rs. 16 kop. 80.

NAKLADEM

Księgarni Polskiej

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł zeszyt 3ci dzieła:

HETMANI POLSCY

Koronni i W. Ks. Litewskiego. Wizerunki zbrane i rysowane przez Wojciecha Gersona, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zeszyt ten obejmuje portrety i biografie: a) Jana Zamojskiego, hetmana i kanclerza wielkiego koronnego; b) Adama Sieniawskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego; c) Feliksa Potockiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego.

Obecnie prenumerata ogłasza się na 16 zeszytów. Cena zeszytu mieszczącego trzy wizerunki z tekstem obszernym polskim i krótkim francuskim, jest rs. 1 kop. 50. Przedpłata pierwsza wynosi rs. 3, która policzona będzie przy ostatnich zeszytach. Na prowincyi, prenumerata uiszczana się będzie w czterech ratach: dwie pierwsze po rs. 5, dwie ostatnie po rs. 7. Pierwsza rata ma być z góry zapłaconą, druga po odbiorze czwartego zeszytu, trzecia po odebraniu dwunastego zeszytu. Dla wnoszących całkowitą przedpłatę z góry, oznacza się cenę wszystkich 16tu zeszytów na rs. 20. Po wyjściu zaś całego dzieła (16tu zeszytów), cena podwyższona będzie na rs. 25.

Galerya hetmanów stanowi dalszy ciąg albumu królów. Herby i podobizny podpisów (facsimilia), przy każdym wizerunku domieszczone są i nadal będą. Rachując na wsparcie rodaków, bez którego nie dokonać niepodobna, przyrzekamy z naszej strony wszelkich możliwych dolożyć starań, ażeby wychodzące dzieło tak pod względem artystycznym, jako też historycznym godnie odpowiedziało oczekiwaniu Publiczności, dla której niech będzie ręką naszą naszej słowności, sumienne wywiązanie się nasze z wydawnictwa Galeryi Królów Polskich.

NB. P. S. Wizerunki hetmanów wychodzą będą niekoniecznie porządkiem chronologicznym, ale w miarę zebrania portretów autentycznych; w końcu jednak dzieła zupełnie się skompletują i we właściwym miejscu wraz z tekstem dołączają; w którym to celu stosowne objaśnienie (spis chronologiczny) dołączony zostanie. Dołączonym również będzie wykaz źródeł do narysowania wizerunków przez pana Gersona użytych.

A. Dzwonkowski i spółka.

NAKLADEM KSIĘGARNI

i składu nut muzycznych

Józefa Kaufmann i spółki,

przy ulicy Krakowskie - Przedmieście Nr 442 (71), wprost odwachu

wyszły z druku ułożone na fortepian przez Franciszka Lanner Orpheus Quadrille, grywane w Teatrze Rozmaitości, które nabyć także można we wszystkich składach nut muzycznych tak warszawskich jak i prowincjonalnych. Cena kop. 30.

NAKLADEM

B. M. WOLFFA

w St. PETERSBURGU,

wyszły nowe dzieła i są do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach Warszawskich i na prowincyi: Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza, wydane ozdobione 24 drzeworytami kolorowanymi według rysunku W. Gersona, 8ka. Cena rs. 2.— Toż samo z 24 drzeworytami czarnymi. Cena rs. 1 kop. 50.— Biłoteka zaściankowa tom Iszy, Pamiętnki Jana Chryzostoma Paska, z czasów panowania Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana IIIgo, 16ka. Cena k. 75.— Tom IIgi: Życie i przypadki Faustyna Feliksa na Dodosiach Dodosińskiego. Pamiętniki Seglasy przez Fryd. Hr. Skarbka, 16ka. Cena kop. 75.— Obrazy natury z uniejętnymi obrazami Aleksandra Humboldta, przelozyl z 3go poprawnego i pomnożonego wydania Dr. A. E. Urbański, 2 tomy, 8ka. Cena rs 2 k p. 50. — Krótki wykład nauki chrześcijańskiej dla użytku młodzieży i ludu katolickiego, z dodaniem modlitw pobożnych, 12ka. Cena kop. 25.— Grammatyka języka polskiego przez Józefa Muczkowskiego, wydanie nowe przerebione, 12ka. Cena kop. 75.— Mała grammatyka języka polskiego przez Józefa Muczkowskiego, wydanie nowe stereotypowe, 12ka, Petersburg 1860. Cena kop. 45.— Skład główny powyższych dzieł w księgarni Henryka Natanson, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście nro 17.

Pod tytułem: ZABAWY UMYSŁOWE, znacznie wychodzą jeszcze w grudniu roku bieżącego, dzieło zbiorowe dla młodocianego wieku, wydawane przez J. Smigielską, przez którą poprzednio wydane Zabawy w sześciu tomach już zaleciły się nie jednym pożytecznym artykułem. Dzieło zaś, które obecnie wyjdzie, odpowiadając dzisiejszym wymaganiom, ma się ukazać w ozdobienszej szacie, na pięknym papierze, z drzeworytami, w powiększonej osemce. Przeznaczone bardziej dla dorastających niż dla drobnych dzieci, obejmować będzie życiorysy sławnych ludzi, powieści, podróże, poezje i wiadomości z nauk przyrodniczych, ułożone w taki sposób żeby tworzyły pewną całość. W pierwszym zeszycie zaczyna się króciuchny wykład geologii. Prenumerata na dużych pięć poszytów wynosić będzie cztery ruble srebrem. Przyjmuje się na wszystkich stacjach pocztowych za tę samą cenę 4 ruble sr., gdyż autorka kosztą przesyłki bierze na siebie. Skład główny w księgarni polskiej A. Dzwonkowskiego.

Osoby zamieszkałe w Cesarstwie otrzymujące gazety w kopertach, mogą w tychże samych kopertach odbierać i Zabawy, za nadesłaniem 4 rubli do biura ekspedycji gazet w Warszawie.

Zawiadania się wszystkie osoby biorące na kredyt lekarstwa z apteki Jana Dąbrowskiego w Lublinie, po dzień 1 lipca 1860 r., iż podpisane sukcesorki zmarłego Jana Dąbrowskiego, upoważniły W. Stanisława Ilustrowskiego Patrona w Lublinie, do windykacji wszelkich z tego tytułu należności; osoby przeto dłużne w tej aptece, raczą się wcześniej zgłosić do W. Ilustrowskiego Patrona z zapłatą należności, jeżeli chcą uniknąć prawnych poszukiwań.

Walerya Dąbrowska. — Teodora Dąbrowska. Fryderyka z Dąbrowskich Mallesewska.

KALENDARZ WARSZAWSKI

POPULARNO-NAUKOWY

JOZEF A UNGRA

NA ROK 1861

wyszedł z druku; zakład drzeworytańczy Tygodnika ilustrowanego dostarczył licznych drzeworytów do odpowiednich wypracowań autorów. Oprócz zwykłych kalendarzskich szczegółów, jakoto: wykazu świąt, ewangelij, dat wschodu i zachodu słońca i księżyca, Rozkładów jazdy pociągów i poczt, Doniesień, Jarmarków i Taryfy miasta Warszawy, zawiera następujące artykuły literackie i gospodarskie, jakoto: Krótki rys objaśniający znaczenie uroczystych Świąt starozakonnych. Budowa fizyczna słońca, A. Prażmowskiego. Trochę o kwestarzach (brat Piotr z drzeworytem). Bitwa pod Grunwaldem (z drzeworytem) K. Wł. Wójcickiego. Tadeusz hr. Mostowski (z drzeworytem). Dyonizy Papin (z drzeworytem). Rodzina Jussieu, J. Alexandrowicza. Kijem tego co nie pilnuje swego, komedia. Czerwony Zamek, K. Wł. Wójcickiego. Bernardyni w Kazanowie, Juliana Bartoszewicza. Książd Jakób Falkowski (z drzeworytem), T. Dziekońskiego. Wyjątek ze wstępu do historii Instytutu głuchoniemych w Warszawie (z drzeworytem), T. Dziekońskiego. Wiadomość historyczna o zgromadzeniach rzemieślniczych czyli cechach w Warszawie, F. M. Sobieszczańskiego. Wycieczka w przestrzeń nieba, J. B. Wagnera. Klejnoty i pospolite kamienie, J. B. Wagnera. Opium i zgubne skutki jego użycia (z drzeworytem). Sen kwiatów. Szarańcza (z drzeworytami). Wypis ze słownika zdań, maxym i przysłówiów, A. Bartoszewicza. Przedmiot do powieści, J. Korzeniowskiego. Aniołek, wiersz W. Sabowskiego. Cztery pory roku (z drzeworytami), Wł. L. Anczyca. Poświęcenie warsztatów mechanicznych gimnazjum Realnego w Warszawie (z drzeworytem). Zużytkowanie miejskich odchodów na nawóz, S. Przyszańskiego. O potrzebie urzędzenia lasów, A. Połujńskiego. O administracji lasów. O potrzebie i możliwości ulepszenia roślin gospodarskich, J. N. Kurowskiego. O życiu pszczoł, A. Mieczynskiego. O sztucznym rozmnażaniu ryb. O gospodarstwie rybnym w Polsce, Zyg. Gawareckiego. O szlamie stawowym, Z. Gawareckiego. Wiadomość o działaniach towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem z r. 1860. Koń rasy angielskiej, Albina Kohna.

SKŁAD GŁÓWNY tego Kalendarza w Drukarni Wydawcy i w sklepie materyałów piśmiennych A. Szustra przy ulicy Wierzbowej, Nr. 473. Cena egzemplarza kop. 45.

PAMIĘTNIK

TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

WARSZAWSKIEGO

Poszyt III. Tom. II.

za miesiąc Wrzesień,

przed parą dniami opuścił prasę i zawiera:

I. Część. 1) Rodowód lekarzy i t. d. przez W. Libel (dokończenie). 2) O epidemiach cholearycznych w Płocku, przez Wł. Tyrchowskiego (dokończenie). — II. Część sprawozdawcza. 1) Sprawozdanie z czynności lekarskich w oddziale chorób syfilitycznych szpitala starozakonnych w Warszawie, przez Dra Loewengluck. 2) Czynności Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, posiedzenie 15te w dniu 7 sierpnia 1860 r. i 16te w dniu 21 sierpnia. — III. Część urzędowa. 1) Nagrody osób lekarskich. 2) Zmiany urzędników zarządu Sł. Cyw. lekarskiej. 3) Pozwolenia do praktyki lekarskiej w Królestwie Polskiem. 4) O użyciu środków arsenikalnych w celu uchronienia od wodostrętu.

Powyższe pismo wychodzi nakładem księgarni i składu nut muzycznych J. Kaufmann i spółki przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, Nr 442 (71) wprost odwachu.

Nowo otworzona księgarnia

ALEKSANDRA LEWIŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej pod filarami,

zwiększając obręb swych czynności, ze względu na potrzebę czytającej publiczności, zwłaszcza w tej porze, otworzyła abonament czytania książek polskich. Zakład ten zaopatrzony jest w masę dzieł doborowych i zajmujących

literatury naszej, których zbiór z każdym dniem pomnażany, dojdzie wielkich rozmiarów i wszelkim żądaniem czytającej publiczności zadość uczyni. Miesięcznie za czytanie płaci się złp. 4.

W dobrach

HORODŁO

położonych nad samym Bugiem, spławnym od tego punktu do rzeki Wisły, jest do sprzedania 6000 sztuk dębów w środkowym przecięciu mających średnicy od 12 do 16 cali, a wysokości od 25 do 32 stóp, między którymi są klepki, krzywki i plansany (drzewo zdadne do budowy okrętów).

Warunki nabycia, tak co do ceny jako też wypłaty szacunku, bardzo dogodne. Najdalszy punkt lasu od rzeki Bugu jest 1 i pół wiorsty. Bliższa wiadomość u W. Gregorowicza Patrona Trybunału Lubelskiego, w mieście Lublinie przy ulicy Królewskiej, w domu dawniej Dra Starzyńskiego, obok gmachu Towarzystwa Kredytowego, zamieszkałego, do skutecznego tej przedaży przez właściciela upoważnionego.

Poszukiwanie interessentów do znacznego procentu.

Pewien zakład życzy sobie dla większego rozprzestrzenienia swych czynności, posiadać adresy właścicieli dóbr i domów na prowincjach i mniejszych częściach kraju. Nastręcza to obszerne pole do działania i znaczne korzyści tak dla agentów, urzędników, jak i komwojażerów i t. d.—Bliższą wiadomość udzieli

HAASENSTEIN i VOGLER

w Hamburgu.